

Nr 1 (116) – B Rok 20

Styczeń-Luty 2014



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

# Wołanie z Wołynia

## Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*  
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka  
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

**Redaktor naczelny:** ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

**Redakcja:** Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,  
ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,  
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,  
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczyńców prosimy o wpłaty na konto:

Stow. Ośrodek “Wołanie z Wołynia”

**PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC**

**nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001**

~ ~ ~ ~

„Wołyński Słownik Biograficzny”

<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

“Dziennik pisany nad Horyniem”:

<http://ostrog.blox.pl/>

**Jesteśmy w Facebook’u:**


<http://www.facebook.com/Wolanie>



## SPIS TREŚCI

- s. 3-6: *Komunikat Konferencji Episkopatu Ukrainy*
- s. 6-8: Ks. Edward WALEWANDER, *«Bóg się rodzi, moc truchleje»*
- s. 9-10: *Arcybiskupi i Biskupi Ukraińskiego Kościoła Greko-katolickiego, Wezwanie do postu i nieustannej modlitwy*
- s. 11-12: Ks. Mieczysław MALIŃSKI, *Pokusy*
- s. 12-19: Sławomir Tomasz ROCH, *Sól św. Agaty i sól Ziemi Wołyńskiej*
- s. 20-21: Jurij ANDRUCHOWYCZ, *Na Ukrainie trwa zbrodnia przeciw ludzkości*
- s. 22-26: Anna ZECHENTER, *Ratował dusze na ziemi bez Boga*
- s. 27-30: Bogusław MANSFELD, *Jeszcze raz do Ostroga*
- s. 31-34: Krzysztof CZARNECKI, *Polska wobec Ukrainy*
- s. 34: Stanisław FAŁEK, *Oświadczenie*
- s. 34-36: *Celestyna JANCZAK z d. DOBRZAŃSKA, Sprostowanie*
- s. 37-40: Krzysztof WOJCIECHOWSKI, *Stoję za normalność*
- s. 41: Jarosław KOWALCZUK, *Odnowienie Mogiły Nieznanego Żołnierza w Równem*
- s. 42-44: Krzysztof WOJCIECHOWSKI, *Z Dubna w stepy*
- s. 45-48: Krzysztof Rafał PROKOP, *Franciszek Antoni Kobielski*

1739-1755



Dostajemy często zapytania „**Gdzie można nabyć «Wołanie z Wołynia» i Wasze książki?**”

Aby otrzymać „papierową” (tradycyjną) wersję naszego czasopisma należy zwrócić się listownie na adres:

**Stefan Kowalów**

**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”**

**skr. poczt. 9, 34-520 Poronin, Polska**  
lub

**o. Вітольд-Йосиф Ковалів**  
вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.,  
Україна

**e-mail: vykovaliv@gmail.com**

Poprzednie numery „Wołania z Wołynia” z lat 2010-2013 w wersji elektronicznej dostępne są pod adresem:

[http://www.duszki.pl/wolanie\\_z\\_wolynia/](http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/)

Nasze czasopismo i książki z serii „Biblioteka «Wołania z Wołynia»” można nabyć także w:

**Antykwariat Kresowy**  
**Krzysztof Koltun**  
ul. Lwowska 13 J, 22-100 Chelm  
tel. +48 82 564 72 99

**e-mail: antykwariat-kresowy@o2.pl**



Słowo Pasterzy - Слово Пастирів

KOMUNIKAT KONFERENCJI  
EPISKOPATU UKRAINYL.p. 3 / 2014  
23 stycznia 2014 roku

*Odczytać na początku każdej Mszy świętej w niedzielę 26 stycznia 2014 roku.*

Drodzy bracia i siostry!

Z wielkim niepokojem spoglądamy w stronę Kijowa, zadając pytanie – jak i kiedy skończy się społeczny protest i jaką on zrodzi Ukrainę? Odpowiedzi na to pytanie jest wiele. Ze strony Władzy i Opozycji słyszymy różne scenariusze i ocenę faktów. Widzimy również, że cierpliwość i pokojowe trwanie osiągają swój punkt szczytowy. Dochodzą wiadomości o ofiarach, już nie tylko rannych ale i zabitych, co napawa nas wszystkich smutkiem i ogromnym bólem.

Śledząc na bieżąco wydarzenia, należy przypomnieć sobie biblijny opis tragedii jaka dotknęła pierwszych ludzi. Adam i Ewa po opuszczeniu raju, otrzymali od Boga potomstwo. Urodziło im się dwóch synów: Kain i Abel. Kain, starszy – upra-



wiał rolę, Abel – młodszy był pasterzem trzód. Obaj bracia składali przed Bogiem ofiarę – dziękowali w ten sposób za owoc swojej pracy. Abel złożył w ofierze owcę, a Kain pierwsze plony zboża. Abel miał czyste serce i jego ofiara radowała Pana Boga. Kain zaś, był zazdrosny i Bóg nie przyjął jego ofiary. Nie podobało się to Kainowi i chodził z ponurą twarzą. Bóg powiedział do Kaina „*gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną*”. Ale Kain nie chciał być posłuszny Panu Bogu. W jego sercu zamieszkało zło. Postanowił, że zabije swojego brata – Abła. Gdy byli w polu, Kain wziął kamień i zabił Abła. Bóg zapytał Kaina: „*Gdzie jest twój brat Abel*”. Kain odpowiedział: „*Nie wiem nie*



jestem jego stróżem”. Ale Pan Bóg wiedział co uczynił Kain, więc rzekł do niego: „Nie będziesz uprawiał swej roli. Na twoim polu już nic nie wyrośnie. Staniesz się tulaćcem na ziemi”.

Ten biblijny opis niech będzie pierwszym przestaniem, jakie dzisiaj kierujemy do wszystkich. Niech nikt nie nosi na swoich rękach brzemienia zbrodni kainowej. Ona nie jest dobrym fundamentem, na którym można budować dobrobyt państwa i jego obywateli. Za nią bowiem stoi ból i rozpacz, które pozostawiają po sobie trwałe blizny – świadectwa niesprawiedliwości.

Drugim przestaniem, niech będą słowa papieża Franciszka, który odnosząc się do wielu konfliktów, jakie istnieją na świecie mówił: „Drodzy bracia i siostry, chciałbym wyrazić krzyk, wznoszący się z rosnącym niepokojem z każdego zakątka ziemi, z każdego narodu, z serca każdego człowieka, z jednej wielkiej rodziny, jaką jest ludzkość: jest to wołanie o pokój! To jest wołanie z mocą: chcemy świata pokojowego, chcemy być ludźmi pokoju, chcemy, aby w tym naszym społeczeństwie, dręczonym podziałami i konfliktami, zapanał pokój; nigdy więcej wojny! Pokój jest zbyt cennym darem - trzeba go szerzyć i chronić”.

Słowa papieża niech dzisiaj obiegają całą Ukrainę i będą usłyszane przez tych, którzy mogą zachować pokój. To właśnie do nich dzisiaj wołamy, jako społeczność

Kościola, której zależy na zachowaniu ładu i porządku, sprawiedliwości i pokoju. Jesteśmy jedną wielką rodziną, dla której te wartości nie są obojętne, a nawet są pryncypialne w codziennym życiu.

Kochani bracia i siostry!

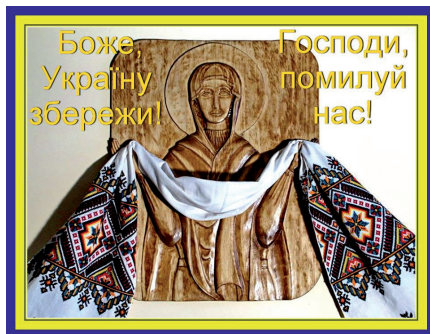
Wzywamy wszystkich wierzących w Chrystusa, do podjęcia kolejnego dnia modlitwy i postu dla zachowania pokoju w Ukrainie. Niech nasza modlitwa obejmie tych, którzy zginęli i ich rodziny. Pamiętajmy o rannych i tych, co niosą im pomoc. Stańmy z modlitwą blisko tych, którzy zabiegają o godne i uczciwe życie każdego obywatela naszego państwa.

Dniem modlitwy niech będzie dzisiejsza niedziela, tj. 26 stycznia 2014 r., a dniem postu następujący po niej poniedziałek 27 stycznia 2014 r.

Z wiarą i nadzieją w sercu podejmimy to zobowiązanie, pamiętając o słowach Pana Jezusa: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam” (Mt 7, 7).

Wszystkim zatroskanym o pokój, społeczne dobro i sprawiedliwość, z serca błogosławimy: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Arcybiskupi i Biskupi  
Rzymskokatolickiej Konferencji  
Episkopatu Ukrainy



## MODLITWA WIERNYCH

Boże, wsłuchaj się w głos naszej modlitwy, zanoszony dzisiaj w imieniu całego narodu i wysłuchaj nas wołających do Ciebie, który jesteś Księciem Pokoju.

1. Módlmy się za papieża Franciszka, aby jego troska o pokój na świecie i potępienie wszelkiego zła, były usłyszane przez każdego człowieka na ziemi. Ciebie prosimy.

2. Módlmy się za ludzi walczących w imieniu nas wszystkich o prawdę, dobro i sprawiedliwość, aby wsparci naszą modlitwą, wytrwali w dobrym dziele. Ciebie prosimy.

3. Módlmy się za ludzi, którzy chcąc dobra napotkali na swojej drodze postawę nienawiści wyrażoną w zadaniu im cierpienia fizycznego, aby wracając do zdrowia i wolnego życia, wybaczyli wszystkim, którzy zadali im to cierpienie. Ciebie prosimy.

4. Módlmy się za wyrządzających krzywdę, aby zrozumieli, że podnieśli rękę na swoich rodaków i podjęli drogę pokuty wiodącą do wołania o przebaczenie im ich przewinień. Ciebie prosimy.

5. Módlmy się za zmarłych, których nagła i niespodziewana śmierć rozłączyła z bliskimi i przyjaciółmi, aby złączeni ze świętymi oczekiwali chwalebного zmartwychwstania. Ciebie prosimy.

6. Módlmy się za nas samych i naszą Ojczyznę, abyśmy kształtując w sobie drogę prawdy, sprawiedliwości i pokoju, uczynili ją obrazem tych wartości, o które usilnie zabiegamy. Ciebie prosimy.

Wszchemogący Boże przyjmij modlitwę Kościoła w Ukrainie, który woła do Ciebie pragnieniem sprawiedliwości i dopomóż nam abyśmy nie tylko pragnęli ale mogli żyć według tego pragnienia. Prosimy o to przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

## MODLITWY PRZED BŁOGOSŁAWIEN- STWEM

**Módlmy się za poległych** – Panie Jezu Chryste, w Tobie zabłysła dla nas nadzieja chwalebного zmartwychwstania i choć zasmuca nas nieunikniona konieczność śmierci, znajdujemy pociechę w obietnicy przyszłej nieśmiertelności. Albowiem życie Twoich wiernych, o Panie, zmienia się, ale się nie kończy, i gdy rozpadnie się dom doczesnej pielgrzymki, znajdą przygotowane w niebie wieczne mieszkanie.

Prosimy Cię, Panie, oczyść z grzechów duszę poległych w ostatnich dniach, tak aby wraz ze wszystkimi Zbawionymi, cieszyli się chwałą zbawienia. Przez Chrystusa, Pana naszego, który żyje i króluje z Tobą w jedności Ducha Świętego, Bóg przez wszystkie wieki wieków. Amen.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. (3x)

**Módlmy się, aby przeciwnicy podali sobie ręce** – Boże, Stworzycielu świata, który każde stworzenie otaczasz swoją ojcowską troską i kierujesz biegiem historii, by osiągnęła swój cel – zbawienie, my widzimy Twoją ojcowską miłość, gdy ła-

godzisz zatwardziałość człowieka i otwierasz rozdarty konfliktami i walką świat na pojednanie. Odnów dla nas cuda Twojego miłosierdzia: ześlij swojego Ducha, by działał w głębi naszych serc, aby wrogowie dojrzeliby do dialogu, przeciwnicy uściśniły sobie dłonie, a ludzie żyli w zgodzie. Pomóż nam poświęcić się szczeremu dążeniu do prawdziwego pokoju, który kładzie kres kłótniom, do miłości, która przewycięża nienawiść, do wybaczenia, które rozbraja wszelką zemstę. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Matko Kościoła, módl się za nami  
Wspomożenie wiernych, módl się za nami  
Św. Michale Archaniele, módl się za nami

Św. Włodzimierzu, Chrzcicielu Rusi Kijowskiej, módl się za nami  
Św. Olgo, módl się za nami  
Św. Józefie Bilczewski, módl się za nami  
Św. Zygmuncie Gorazdowski, módl się za nami  
Św. Zygmuncie Szczęsny Feliński, módl się za nami  
Bł. Jakubie Strzemię, módl się za nami  
Bł. Janie Pawle II, módl się za nami  
Bł. Marcelino Darowska, módl się za nami  
Bł. Marto Wiecka, módl się za nami  
Bł. Janie Beyzymie, módl się za nami  
Wszyscy święci i święte Boże, módlcie się za nami.



## Słowo Pasterza - Слово Пастыря

# „BÓG SIĘ RODZI, MOC TRUCHLEJE”

Bóg się ro - dzi, moc truchleje, Pan niebiosów ob - na - zo - ny,  
O-gień krze - pnie blask ciem-nieje, Ma gra-ni-ce nieskończo-ny,  
5 Wzgar - dzo-ny, o - kry-ty chwa-łą; Śmier - tel-ny, Król nad wie-ka - mi;  
9 A Sło-wo Cia-łem się sta - ło, I mie-szka-ło mię-dzy na - mi!

„Bóg się rodzi, moc truchleje” – to pierwszy wers jednej z najbardziej popularnych kołęd, powstałej pod koniec XVIII w., w bardzo trudnym okresie dla Polski podzielonej już wtedy przez sąsiadów na trzy zabory. Autorem tej pięknej, podniosłej, uroczystej kołedy był znany poeta Franciszek Karpiński, który na miejsce

dotychczas sztucznej i oderwanej od życia retoryczności wprowadził do literatury polskiej formę bezpośredniego, szczerego wyznania. Takim wyznaniem jest treść całej jego kołedy, chętnie śpiewanej już przez kilkanaście pokoleń, i to nie tylko Polaków. Kołęda ta prawie zawsze jest w programie naszych spotkań oplatkowych.



Ten niezwykle utwór bożonarodzeniowy opiewa Dzieciątka Jezus „w *nędznej szopie urodzone*”. Bóg nie chciał, by Jego Syn był dla kogokolwiek zagrożeniem. Przeciwnie, jest On Zbawicielem człowieka. To małe arcydzieło kończy się błagalną strofą: „*Podnieś rękę, Boże Dziecię, / Błogosław Ojczyznę miłą, / W dobrych radach, w dobrym bycie / Wspieraj jej siłę swą siłą, / Dom nasz i majątność całą, / I wszystkie wioski z miastami*”.

Znakiem Boga jest prostota. Znakiem Boga Jego dziecko. Wymownym znakiem Boga jest fakt, że On, Stwórca i Pan całego świata, dla nas stał się niemowlęciem. Taki jest Jego sposób panowania. Nie przychodzi do nas, na ziemię, na nasz ludzki świat, z zewnętrzną mocą, przepychem, ale jako bezbronne i potrzebujące pomocy dziecko. Nie chce przytłoczyć nas swym majestatem i siłą. Nie boimy się Jego wielkości. Możemy podejść do Niego blisko. Pośpiewać Mu cichutko do snu, a gdy się przebudzi – głośniej, wesoło, z przytupem. Przez chwilę wszyscy czujemy się przy Nim jak dzieci.

Ciągle nas bardzo zdziwi, dlaczego państwa, które dobrze znami, i czasem może nawet je podziwialiśmy, czuły się



zagrożone ze strony Bożego Dziecięcia. Potężne mocarstwa, dobrze uzbrojone, wyposażone w cały aparat wpływu po prostu bały się małego Chrystusa. Wysadzały w powietrze świątynie chrześcijańskie, torturowały w niczym im niezagrażających świątobliwych wierzących chrześcijan, a zwłaszcza kapłanów. Zsyłano ich do ciężkich robót w kopalniach syberyjskich, nierzadko na wiele lat. Jedynym przewinieniem tych skromnych i niewinnych ludzi było to, że przepowiadali naukę płynącą z faktu Bożego Narodzenia. Nikomu nie wadzili, tym bardziej państwu. Przeciwnie, pracowali dla jego dobra. Byli lojalnymi obywatelami. Uczyli, że Dziecię Jezus nie pragnie od nas niczego innego, jak tylko naszej miłości, dzięki której spontanicznie uczymy się zgłębiać Jego pragnienia, Jego myśli i wolę. Ci ludzie wiary chcieli żyć z Nim i wraz z Nim doznawać także pokory wyrzeczenia, która należy do istoty miłości.

Dziecię Jezus, którego przyjście na świat przed ponad dwa tysiącami lat dziś wspominamy, musi więc bardzo wiele znaczyć, musi mieć w sobie wielką moc i potęgę, skoro bały się Go mocarstwa. Tak niegodnie zachowywały się wobec Niego i Jego nauki. Z tego wszystkiego wynika, że Boże Narodzenie to coś niezwykłego, nadzwyczajnego, niepowtarzalnego, a Bóg to po prostu wielka sprawa. Od Narodzenia Chrystusa liczy się czas. Obecnie

mamy rok 2014, liczony od Jego przyścia na świat. Dlatego z okazji Bożego Narodzenia chętnie przebywamy razem i dzielimy się białym opłatkiem, symbolem czystości i miłości.

Trudno nie mówić dziś o tym, że tak często poniewierany i prześladowany Jezus, który zawisnął na krzyżu, zginął okrutną hańbiącą śmiercią, ostatecznie zwyciężył. Pokonał na zawsze śmierć – zmartwychwstał. Wykupił nas od śmierci wiecznej, otworzył nam bramy nieba, gdzie czeka nas życie wieczne w Bożym królestwie. Do Jezusa zawsze należy ostatnie słowo.

Kapłani wrócili do ocalałych świątyń. Odrestaurowali zniszczone. Budują też nowe. Wierni chrześcijanie mogą w nich śpiewać kolędę „*Bóg się rodzi*”. Można mówić o Bogu, który nikomu nie zagraża; przeciwnie: wszystkich wspiera, broni, ocala.

Cieszy nas, Polaków, że mamy swoją bardzo bogatą tradycję i kulturę świętowania Bożego Narodzenia. Dzięki niemu gromadzimy się w jedno. Wszędzie, gdzie dzielimy się opłatkiem, tam łączymy się duchowo z Bogiem i wzajemnie ze sobą. W atmosferze tego wielkiego i radosnego święta stajemy się jedną rodziną.

Chrystus i Jego Kościół nie dzielą, ale wzmacniają każdego człowieka. Mały Jezus ze złości błogosławi swoją rodzinę, do której wszyscy należymy. Jego miłość wyzwala wzajemną życzliwość i oddanie. Sprawia, że potrafimy stawiać sobie wymagania, nawet wtedy, gdy inni od nas nie wymagają. Tak jak nauczał nas papież Jan Paweł II. Gdy się Go słuchamy, wzrastamy w miłości i dobru. A tego bali się zawsze ciemiężcy. Oni chcieli panować nad ludzkimi sercami i deprawować sumienia. Także teraz lansuje się na pozór piękne hasła, takie jak „*rób, co chcesz*”. W istocie sprowadzają się one do tego, by nie wymagać nic od siebie, myśleć przede wszystkim o sobie, a nie o bliźnich.

Tymczasem Chrystus nie przymusza ludzi do nawrócenia, ale przekonuje ich,

że jedyną miarą prawdy jest miłość. Nigdy nie chodzi Mu o ilość, lecz zawsze tylko o jakość. Nigdy nie chodzi o to, jak wielka jest liczba Jego zwolenników. To zdaje Go wcale nie interesować. Najważniejsza jest jednostka w swoim poznaniu i nawróceniu.

Może ta krótka refleksja pozwoli nam lepiej zrozumieć przesłanie tej wyjątkowej polskiej kolędy, wymownie zatytułowanej *Bóg się rodzi*. Życzymy sobie, by rodził się On ciągle na nowo w naszych sercach. Pragniemy gorąco i o to prosimy, by Bóg nigdy nie opuszczał naszej „*Ojczyzny milej*”, a zwłaszcza teraz, gdy tyle w niej zagrożeń i niepewności, ale jej stale błogosławił. Śpiewamy, usilnie prosząc Boga Dziecię: „*Wspieraj jej siłę swą siłą!*”.

*Ks. Edward Walewander*



Św. Mikołaj i szopka bożonarodzeniowa na kijowskim Majdanie

*Fot. Archiwum*



Słowo Pasterzy - Слово Пастирів

## WEZWANIE DO POSTU

## I NIEUSTANNEJ MODLITWY

Droży w Chrystusie! W ostatnich miesiącach kraj nasz przeżywa ciężkie próby, świadczące o głębokim kryzysie w stosunkach między społeczeństwem a władzą. Niechęć władzy do wsłuchiwania się w myśli narodu już doprowadziła do tragicznych skutków.

Wyrażamy swe głębokie współczucie rodzinom zabitych, zapewniając ich o naszej bliskości w modlitwie, solidaryzujemy się z rodzinami prześladowanych, stajemy po stronie pobitych, przygnębionych, uciskanych i znieważanych. Głos nasz łączy się obecnie z głosem milionów obywateli Ukrainy, wołających do nieba o prawdę i sprawiedliwość słowami Pisma Świętego: „*Niebioso, wysączcie z góry sprawiedliwość i niech obłoki z deszczem ją wyleją! Niechaj ziemia się otworzy, niech zbawienie wyda owoc i razem wzejdzie sprawiedliwość*” (Iz 45, 8). przy tym chcemy podkreślić, że sprawiedliwość nie nastanie dopóty, dopóki nie zostanie uzdrowiona rana na ciele poszkodowanych, dopóki nie odnajdą się wszyscy zaginięni bez wieści, dopóki w społeczeństwie nie zostaną usunięte zagrożenia dla podstawowych praw i swobód człowieka i całego narodu oraz nie zostanie przywrócone zaufanie do władzy, bez czego nie można zbudować współczesnego państwa prawa.

W tych niełatwych warunkach staliśmy się świadkami wielkiego ludzkiego dobra i solidarności w naszym narodzie. Młodzież, zwłaszcza studenci, ludzie dojrzały, kobiety i mężczyźni, a nawet osoby potrzebujące wychodziły na place i majdany Kijowa oraz innych miast i wsi naszego kraju, wykazując dojrzałość oby-

watelską i duchową, gotowość do ofiar w imię lepszego losu swych rodaków. Wszystkim tym ludziom wyrażamy nasz szacunek i wdzięczność, kierując do nich słowa św. Pawła Apostoła: „*Przeto, bracia moi najmilsi, bądźcie wytrwali i niezachwiani, zającą zawsze ofiarnie dziełem Pańskim, pamiętając, że trud wasz nie pozostaje daremny w Panu*” (por. 1 Kor 15, 58). Szczególnie chcemy zwrócić uwagę na te osoby, które – pełniąc służbę państwową, mimo nacisków i gróźb – dochowały wierności prawu Bożemu i głosowi własnego sumienia, odmawiając dopuszczania się przemocy wobec własnego narodu. Czynem wypełniły one prawo, jakim kierowali się jeszcze pierwsi chrześcijanie Jerozolimy, którzy, mimo prześladowań, nie odstąpili od prawdy Bożej i mówili: „*Trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi*” (Dz 5, 29).

Jednocześnie z wielkim niepokojem i bólem serca odbieramy przejawy przemocy, nacisków i prześladowań pokojowych demonstrantów ze strony struktur siłowych Ukrainy. Haniebny i poniżający dla samego państwa stał się ogólnie znany fakt, że struktury siłowe zaczęły współdziałać ze zbrodniczymi najemnikami, którzy dokonywali pogromów i napaści na wiecujących, lekarzy, dziennikarzy, a nawet na zwykłych obywateli, wśród których były osoby w starszym wieku i dzieci. Działania, zmierzających do stłumienia siłą pokojowego sposobu wyrażania woli obywateli, nie można niczym usprawiedliwić i zasługują one na jednoznaczne i stanowcze potępienie.

Władza, która zdaje się nie słyszeć krzyku swego narodu i usiłuje zagłuszyć

jego głos upominający się o własne prawa uderzeniami pałek milicyjnych i strzałami z broni, wkracza na niebezpieczną drogę terroru i dyktatury, co zaprzecza jej podstawowemu powołaniu troski o jedność narodu, stania na straży suwerenności kraju oraz pracy na rzecz dobra wspólnego wszystkich bez wyjątku obywateli.

Kościół potępia każdy przelew krwi i wszelkie formy przemocy, zarazem jednak popiera prawo obywateli do pokojowego protestu. Z całą stanowczością wzywamy wszystkie przeciwstawne strony: „*Powstrzymać rozlew krwi! Nie dopuścić do narastania przemocy!*”. W niezależnym i cywilizowanym Państwie Ukrainie nie powinna łąć się krew własnych obywateli w okresie pokojowym tylko dlatego, że obywatele ci domagają się i bronią należnych im praw i swobód. Wzywamy władzę, aby nie dopuszczała się przemocy wobec własnego narodu, ale aby zaczęła szanować swój naród. Mamy nadzieję, że nasze wezwanie nie pozostanie „*głosem wołającego na puszczy*”.

Dzisiaj wielu ludzi kieruje swój wzrok w stronę Kościołów z wyraźnym bądź pośrednim pytaniem: co mamy robić? Z takim samym pytaniem przychodzili ówczesni ludzie także do Jana Chrzciciela, a on odpowiadał im mocą Ducha Świętego: „*«Kto ma dwie suknie, niech się podzieli z tym, który nie ma, a kto ma żywność, niech tak samo czyni»*». Przyszli zaś także celnicy, żeby przyjąć chrzest i rzekli do niego: „*«Nauczycielu, co mamy czynić?»*» On im powiedział: „*«Nie pobierajcie nic więcej ponadto, co wam wyznaczono»*». Pytali go też i żołnierze: „*«A my co mamy czynić?»*» On im odpowiedział: „*«Na nikim pieniędzy nie wymuszajcie i nikogo nie uciskajcie, lecz poprzestawajcie na naszym żołdzie»*” (Łk 3, 11-14).

My również, świadomi tego, że „*potemoc mi przyjdzie od Pana, co stworzył niebo i ziemię*” (Ps 121 [120], 2), wzywamy naszych wiernych i wszystkich ludzi

dobrej woli do zachowywania przykazań Bożych, do nieczynienia nikomu zła, do trwania w pokoju i dobru. Prosimy o dalszą modlitwę we wspólnotach (parafialnych, zakonnych i rodzinnych) i indywidualnie za Ukrainę oraz ogłaszamy czas postu we wszystkich naszych eparchiach [diecezjach – przyp. KAI] i egzarchatach na Ukrainie. Praktyczne wskazówki co do modlitwy i postu dołączamy do tego Oświadczenia i prosimy ojców-duszpasterzy o ogłoszenie ich i o zorganizowanie ich w odpowiedni sposób. Wraz z metropolitą Andrzejem Szeptyckim „*wierzmy i mamy nadzieję, że przez pokutę, szczerą modlitwę i szczerę przyjmowanie Najświętszych Sakramentów będziemy mogli zasłużyć sobie na to, że Pan skróci czas doświadczeń i cierpień, że swymi miłosiernymi oczami spojrzy na swych synów, że pozwoli im wytrwać z łaską w trudnościach obecnego życia oraz że swą wszechmocną wolą położy kres naszym cierpieniom*” (Modlitwa o lepszy los narodu ukraińskiego).

Podczas gdy nasze spojrzenia kierują się w stronę stołecznego grodu Kijowa, przenosimy się myślami do soboru Świętej Sofii – Mądrości Bożej, gdzie Przenajświętsza Bogurodzica ze wzniesionymi do nieba rękami wstawia się za nami, wypraszając dla naszej ziemi błogosławieństwo i pokój Boży. Jej – naszej Królowej i Orędownicze Niebieskiej – pragniemy polecić obecnie siebie samych, nasz kraj, rządzących nim, wojskowych, to znaczy wszystkich, mieszkających na naszej ziemi, błagając Ją słowami dawnej modlitwy chrześcijańskiej: „*Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawić, Panno chwalebna i błogosławiona*”.

**Arcybiskupi i Biskupi Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego**

## Wierzyć w Chrystusa - Вірити в Христа

## POKUSY

„Nie taki straszny diabeł”

Stara legenda mówi, że żył mistrz Twardowski – człowiek, który chciał odkryć tajemnicę produkcji złota z innych metali. A ponieważ mimo długoletnich i żmudnych wysiłków nie potrafił tego osiągnąć, postanowił oddać duszę diabłu za zdradzenie mu tej tajemnicy. Zwrócił się z prośbą do czarownicy, aby umówiła go z szatanem. Spotkanie zostało wyznaczone w starej dzwonnicy o północy. Noc była pochmurna. Twardowski przyszedł przed północą na miejsce. Z trudem otworzył drzwi dzwonnicy. Zapalił świecę. Wszedł po skrzypiących schodach oblepionych pajęczynami do dużej izby. Był to jakiś skład starych katafalków, połamanych lichtarzy, jakichś rupieci. Czekał w ciszy pełen napięcia. Za chwilę zegar zaczął bić godzinę dwunastą. Nagle, z ostatnim uderzeniem zegara, zerwał się wiatr, otworzył z trzaskiem okno, zdmuchnął świecę. Gdy Twardowski pełen przerażenia, drżącymi rękoma zapalał światło, poczuł, że w kącie ktoś stoi. Podniósł oczy i ku swemu zdumieniu ujrzał pięknie ubranego mężczyznę w palonych wysokich butach, w kontuszu z wylotami zarzuconymi na plecy, w lisim kołpaku na głowie, ozdobionym drogim kamieniem – tylko ten wąs cienki tuż nad wargą, tylko te skośne oczy. Gdy tak zdumiony przyglądał mu się, ten odezwał się do niego z ironicznym uśmiechem: „*Nie taki straszny diabeł, jak go malują*”.

Słowo „grzech” brzmi groźnie. Ale faktycznie grzech jest groźny dopiero potem, w swoich konsekwencjach. Na teraz jest jakimś szybkim rozwiązaniem, zyskiem, korzyścią, przyjemnością – to



dopiero potem okazuje się, że kłamstwo ma krótkie nogi, że na cudzej krzywdzie człowiek się nie dorobi, że lenistwo rujnuje życiowe plany, że zrzucenie winy na drugiego człowieka od niczego nie ratuje. Ale to wszystko potem, teraz zło jest błyskotliwe, ponętne, przedstawia się w barwnych kolorach, zapewnia, że jakoś to będzie; nic wielkiego się nie stanie, nikt się nie dowie, nic się nie wyda, inni też tak postępują – mieni się kolorami tęczy, zachęca, kusi, czaruje, roztacza wspaniałe perspektywy. Dopiero potem jest katastrofa, tragedia, błoto, smutek, brak drogi wyjścia, beznadzieja – a zawsze krzywda ludzka, niesprawiedliwość, czyjeś nieszczęście. A to „*potem*” może być już jutro albo za parę lat, ale zawsze przyjdzie jak powracająca fala – fala powracającego zła.

Mówią, że wąż kobra, zanim zabije, najpierw hipnotyzuje swoją ofiarę. Wiedz o tym i nie daj się zwabić: nie daj sobie zawrócić w głowie, nie poddawaj się nastroikom, tak tym, które w tobie wzrastają, jak i tym, które przychodzą od twojego otoczenia: od tych, którzy już im ulegli, a teraz ciebie wciągają: namawiają, tłumaczą, proszą, grożą, błagają, byś się zgodził, byś uległ, poszedł, powiedział, za-



przeżył, wypił, zabrał, oszukał, okłamał, sfalszował, wyparł się, przekreślił, doniósł, pobił, nawy-myślał, zastraszył, szantażował, wykrecił się, odpisał, zbywał – bo ci to przyniesie korzyść, pomoże, umożliwi, ułatwi, bo ci, to bez pracy da tyle złota, ile zechcesz, tak jak Twardowskiemu.

Tylko potem nie zawsze przypominają się godzinki do Matki Boskiej, gdy szatan porwie w swoje szpony – nie zawsze jest możliwość odwrotu. Bo jedno zło pociąga drugie i trzeba brnąć dalej – bo z czasem przyjdzie ośpienie i zaczniesz się rozmyślać granica pomiędzy dobrem i złem, aż zaniknie całkiem i przestaniesz mieć wyrzuty sumienia.

(cdn.)

ks. Mieczysław Maliński

Pamięć - Пам'ять

## SÓL ŚW. AGATY I SÓL ZIEMI WOŁYŃSKIEJ

„W swoich wspomnieniach z pracy na Wołyniu krótko opisał owo tragiczne wydarzenie: «W jakimś dniu po Bożym Ciele ujrzeliśmy nad Dermanką lunę. Nieliczni, którym udało się ująć, opowiadali: we wiosce zjawiał się oddział z czerwonymi kokardami. Kazał ludziom iść do pracy i obiecali bronić przed Banderą. Potem pomordowali spokojnie pracujących w polu. Wioskę i plebanię spalili, a kościół rozebrali i znaleźli wszystkie schowane rzeczy. Była to po Karasinie i Bystrzycy trzecia moja stracona placówka. Ile ich jeszcze przede mną? Teraz okazało się opatrznościowym, żeśmy odnowili kościół w Horodnicy. Zaczęli się w nim gromadzić

obok wiernych miejscowych także niedobitki z podpalonych wiosek». Niedługo jednak mogli się Polacy czuć bezpieczni w Horodnicy, gdyż i tam zaczęły dźiać się okropności. Wszędzie palono domostwa i mordowano «Lachiw». O. Serafin wraz z grupą swoich wiernych opuścił Horodnicę i powędrował dalej na wschód za dawny kordon graniczny” [O. Hieronim Warachim, „Apostoł Kościoła Milczenia O. Serafin Kaszuba”].

Dnia 5 lutego Kościół obchodzi wspomnienie św. Agaty, panny i męczennicy. W polskiej tradycji ludowej w tym dniu święci się sól, chleb i wodę, ale przede wszystkim sól św. Agaty, która ma chro-

nić ludzkie dusze i ciała przed wszelkim upadkiem i zepsuciem moralnym. W dawnych wiekach istniało także przekonanie, że akcesoria te, a zwłaszcza sól, wrzucone do ognia tłumią go i powodują, że przestaje się rozprzestrzeniać. Wspomnienie o tym, niegdyś powszechnym, zwyczaju zachowało się między innymi w ludowych przysłowiach: „*Gdzie święta Agata, Bezpieczna tam chata*”, czy też inne: „*Sól świętej Agaty, Strzeże od ognia chaty*”.

Tradycja mówi, że pochodziła z miasta Katania na Sycylii, ze znamienitego rodu rzymskiego, i odznaczała się nieprzeciętną urodą. Żyła prawdopodobnie w latach 235-251, za panowania cesarza Decjusza (249-251), kiedy to miały miejsce jedne z najbardziej krwawych w historii rzymskiego imperium prześladowania chrześcijan. O jej życiu i męczeństwie opowiadają liczne apokryfy i hagiograficzne legendy, znane na naszym kontynencie już od wczesnego średniowiecza – św. Agata po przyjęciu wiary chrześcijańskiej złożyła ślub czystości i dlatego odrzuciła rękę prefekta Katanii Kwincjusza – który mszcząc osobistą zniewagę – kazał ją, jako chrześcijankę, uwięzić. Kiedy nie pomogły przekonywania i groźby, znalazła się z jego rozkazu w domu rozpusty, gdzie w cudowny sposób zachowała dziewictwo. W końcu po okrutnych torturach spalono ją na rozżarzonych węglach. W ikonografii przedstawiano św. Agatę z kleszczami, którymi ją szarpano, odciętymi podczas męczeństwa piersiami złożonymi na misie oraz z płonącą świecą w rękę – symbolem Chrystusa.

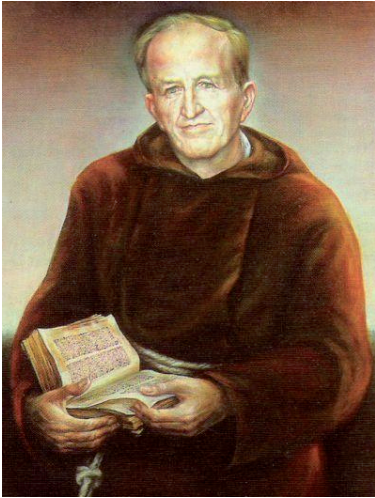
Doczesne szczątki Świętej spoczywają w Katanii, które to miasto, jak chce tradycja, dzięki jej orędownictwu ocalało w czasie wybuchu Etny. Gdy obudził się groźny wulkan grożąc zniszczeniem całej okolicy, jak pisze w Żywotach Świętych ksiądz Piotr Skarga „[...] a kamienie wiel-



ŚW. AGATA

kie jako kule ogniste wypadały, na ulice wyszła procesja niosąc welon wydobyty z grobu św. Agaty, i wtedy potok wulkanicznej lawy zatrzymał się przed murami miasta”. Od tej pory w Katanii co roku w dniu swojej patronki mieszkańcy uczestniczą w uroczystej procesji, podczas której ulicami miasta obwożony jest relikwiarz Świętej. Od wieków czczono ją też jako patronkę zawodów mających kontakt z ogniem: giserów, kominiarzy, ludwisarzy, odlewników, a także jako orędowniczkę w chorobach piersi i opiekunkę karmiących matek. Uważano ją również za wspomocicielkę w czasie pożarów, zwłaszcza spowodowanych przez uderzenie pioruna.

Tytułem świadectwa powiem, że od wielu już lat, każdego roku, wcześniej na ojczystej, a teraz i na szkockiej ziemi, biegnę z pakunkiem soli do kościoła i proszę uprzejmie kapłana, właśnie o błogosławieństwo soli św. Agaty. Czynie to zwykle już po Mszy świętej, a mam tej soli zwykle tyle, że wystarcza mi spokojnie na cały rok, a jeszcze hojnie mogę się podzielić z innymi. Tu w Glasgow obrzęd ten jest zwyczajnie nieznanym i zwykle budzi zdziwienie, ale to wcale mi nie prze-



**Sluga Boży o. Serafin Kaszuba OFM Cap.**

szkadza, gdy w kilka minut później wracam do domu obładowany solą św. Agaty. Jestem wtedy taki szczęśliwy, a przy tym dumny z siebie, jak królewski paw.

#### APOSTOŁ KOŚCIOŁA MILCZENIA

Kiedy w czerwcu 1941 roku rozpoczęła się wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim, a wojska III Rzeszy zajęły Wołyń, dla polskiej ludności na Wołyniu nastały szczególnie ciężkie czasy. Konflikt polsko-ukraiński wybuchł ze wzmożoną siłą. Nacjonalizm doprowadził do barbarzyńskich mordów i palenia wsi. Właśnie Karasin, w którym przed kilkoma miesiącami osiadł o. Serafin Kaszuba, w sierpniu 1941 roku padł ofiarą niewyobraźnego okrucieństwa. Od Karasina rozpoczęły się krwawe „czerwone noce” nad Wołyniem. Z różnym natężeniem, aż do wiosny 1944 roku, płonęły na Wołyniu polskie chaty, przelewała się niewinna krew. Z powierzchni ziemi znikło wiele polskich wsi, wyginęły zupełnie niektóre rodziny. Nad żyjącymi zawisła groźba

barbarzyństwa, rozpoczęła się bieda. Tę ciężką dolę społeczeństwa dzielił młody kapłan-zakonnik o. Serafin.

Po spaleniu Karasina, wraz z ocalałą resztką parafian, schronił się we wsi Bystrzyca, gdzie urządził kaplicę. W parę miesięcy potem, gdy Bystrzyca została spalona, powędrował dalej. Osiadł w pozabawionej kapłana parafii Dermanka. Czysto polska, dobrze zorganizowana wieś, cieszyła się chwilowym spokojem. O. Serafin rozwinął ożywioną działalność duszpasterską i katechetyczną. Szybko więc zyskał szacunek oraz poważanie wśród wiernych, których budował swoją pobożnością i gorliwością kapłańską. Mając mocne oparcie wśród miejscowej ludności, przy współpracy z wiernymi, organizował duszpasterskie wyjazdy poza polską granicę z 1939 roku. Odwiedzał polskie, katolickie rodziny, które od czasu rewolucji pozbawione były duszpasterskiej opieki. Dzięki jego staraniom odzyskano i odnowiono w miejscowości Horodnica kościół, który stał się mocnym ośrodkiem życia religijnego dla wielu Polaków z najdalszych nawet okolic. Tam odbudowywał życie religijne rodaków, odprawiając Msze św. i udzielając sakramentów. Praca była trudna i niebezpieczna, gdyż krwawe hordy, coraz częściej zapuszczały swoje żądne krwi zagony na polskie wsie i osiedla. Opatrzność Boża czuwała jednak nad o. Serafinem. Wielokrotnie, dosłownie w cudowny sposób, uchodził z rąk barbarzyńców, przeżywał wraz z umęczonymi rodakami wołyńskie „czerwone noce”. W czerwcu 1943 roku, podstępnie napadając, spalono Dermankę, a ludność niemal zupełnie wycięto w pień. O. Serafin kolejny raz uszedł szczęśliwie z życiem, gdyż w dniu napadu przebywał w Horodnicy. W swoich wspomnieniach z pracy na Wołyniu krótko opisał owo tragiczne wydarzenie:

„W jakimś dniu po Bożym Ciele ujrzelśmy nad Dermanką lunę. Nieliczni, którym udało się ująć, opowiadali: we wiosce pojawił się oddział z czerwonymi kokardami. Kazał ludziom iść do pracy i obiecał bronić przed Bandera. Potem pomordowali spokojnie pracujących w polu. Wioskę i plebanię spalili, a kościół rozebrali i znaleźli wszystkie schowane rzeczy. Była to po Karasinie i Bystrzycy trzecia moja stracona placówka. Ile ich jeszcze przede mną? Teraz okazało się opatrnościowym, żeśmy odnowili kościół w Horodnicy. Zaczęli się w nim gromadzić obok wiernych miejscowych także niedobitki z podpalonych wiosek”.

Niedługo jednak mogli się Polacy czuć bezpieczni w Horodnicy, gdyż i tam zaczęły dziać się okropności. Wszędzie palono domostwa i mordowano „Lachiw”. O. Serafin wraz z grupą swoich wiernych opuścił Horodnicę i powędrował dalej na wschód za dawny kordon graniczny. Osiadł koło miasteczka Emilczyn w wsi Medwedowo, gdzie znajdowało się duże skupisko Polaków. Z otwartymi ramionami i sercami przyjęli chroniących się u nich rodaków.

Wkrótce ku wielkiej radości wiernych, szczególnie tych, którzy od lat nie widzieli, jak wygląda prawdziwy kościół. Msza święta i nabożeństwo, w sali szkolnej urządzono kaplicę z ołtarzem i amboną. Tam – jak wspomina o. Serafin – „chrzty, śluby, katechizacja dzieci, wszystko to wypełniało czas bez reszty, zwłaszcza, że zaczęliśmy odwiedzać sąsiednie i dalsze wioski: Zaprudę, Balarkę, Niepoznani-cze, Siegiejów. Wszędzie budziło się życie. Odprawiano się nabożeństwo, potem odwiedzało chorych, święciło domy. Tak przeszedł sierpień i wrzesień 1943 roku”.

Dla Polaków, chroniących się przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony band, o. Serafin Kaszuba stał się aposto-

łem i duchowym opiekunem. Dzięki jego obecności i pracy kapłańskiej ożywiła się wiara i religijność, a równocześnie pogłębiła się więź narodowa rodaków, oddzielonych od siebie granicą ustaloną po wojnie polsko-radzieckiej w 1921 roku. Wkrótce jednak, pod naporem stałego zagrożenia życia ze strony UPA, o. Serafin musiał się wraz z wiernymi schronić w bardziej bezpieczne miejsce. Tym razem zawędrował do wsi Stara Huta, w pobliżu której znajdował się silny obóz Armii Krajowej. Pod opieką partyzantów Polacy czuli się bezpieczni.

Jednak zimą 1943 roku Armia Krajowa zlikwidowała swój obóz. Jej odejście było gorzkim przeżyciem dla osamotnionej ludności. Zdaniem o. Serafina we wsi Stara Huta zgromadziło się około 8000 Polaków z różnych rozbitych w okolicy parafii. W tej masie umęczonej ludności, mieszkającej w ziemiankach, pozbawionej środków higienicznych oraz żywności zaczęła się szerzyć epidemia tyfusu, na który zachorował również o. Serafin. Na szczęście Opatrzność zachowała go przy życiu dla posługi wiernym. Zdaniem tych, którzy zdołali przeżyć te niezwykle ciężkie chwile, o. Kaszuba „był to ksiądz-apostoł z poświęceniem. On został tam, bo mówił: żał mi tych ludzi”. Istotnie, dla nieludzko masakrowanej katolickiej ludności jedynym pocieszycielem i opiekunem pozostał o. Serafin. Była to heroiczna ofiara poniesiona przez niego z miłości ku ludziom, a płynąca z ukochania Boga, który obdarzył go charyzmatem kapłańskiego serca.

Wczesną wiosną 1945 roku, kiedy walec wojenny przesunął się na zachód, rozpoczęło się przesiedlenie polskiej ludności z wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Do biedy i nędzy, jaką przyniosła wojna, doszło brutalne wydziedziczenie, które – jak na ironię – nazwano „repatriacją”. W rzeczywistości była to ekspatriacja – nie-

uślubalne wykorzenienie Polski z tamtych terenów. Umęczona wojną, zdziękowana przez nacjonalistów ludność Kresów Wschodnich musiała opuszczać swoją ojcowiznę, którą od licznych pokoleń zamieszkiwała. W większości byli to starcy, kobiety i dzieci, gdyż mężczyźni, albo zginęli w obronie swych rodzin, albo wcześniej zostali aresztowani i wywiezieni na Sybir lub też z wkroczeniem Armii Czerwonej zabrani do wojska. Nie wszyscy jednak chcieli wyjeżdżać. Wiele rozbitych rodzin postanowiło pozostać w oczekiwaniu na połączenie się ze swoimi rozproszonymi w czasie wojny i z przywiązania do ziemi rodzinnej. Obawiano się jednak o nowe niewiadome jutro. O. Serafin – duchowo związany ze swoimi wiernymi – znalazł się w wielkiej rozterce. Wyjechać na zachód, czy pozostać z tymi, którzy wyjechać nie chcieli lub nie mogli? Ziemię wschodnią opuściło duchowieństwo, współbracia zakonnicy (z klasztorów w Ostrogu, Olesku, Drohobyczu, Kutkorzu i Lwowie). Wyjechał jego ojciec z dwoma córkami i wnukami. Wszyscy doradzali, prosili, nalegali nawet, by i on ratował się, korzystając z prawa „*repatriacji*”. Postanowił jednak pozostać. Decyzja ta była z jego strony nową heroiczną ofiarą, która zdumiała odjeżdżających.

Jeden ze świadków owych dni tak wspomina: „*Transporty już odchodziły jedno za drugim. Do głowy nam nie przyszło, że o. Kaszuba z nami nie wyjedzie. On już przy pierwszym transporcie powiedział, że choćby tu dwóch Polaków zostało, to ja będę trzeci z nimi. On się poświęcił dla tych ludzi, dla Polaków. Nie chciał ich zostawić. To były tak ciężkie czasy. Tam w dalszym ciągu groziło niebezpieczeństwo utraty życia. To można zaliczyć do szaleństwa Bożego tam pozostać. To było prawdziwe skazanie siebie na ofiarę. Takie było nasze przekonanie, i On w takich*

*strasznych warunkach tam pozostał. To wszystko cośmy mogli tam znieść i przeżyć, zawdzięczamy tej jego postawie*”.

Pozostał, by być duszpasterzem dla tych Polaków, którzy nie opuścili swej ojczyzny. Rozpoczął nowy etap swej ofiary. Powoli na spalonej ziemi zaczynało się budzić nowe życie. Polacy, którzy nie opuścili Wołynia, osiedlali się razem po kilka rodzin w miasteczkach, gdzie było stosunkowo bezpiecznie. O. Serafin osiadł w mieście Równie, gdzie pozostało dość dużo Polaków. Przy opuszczonych kościołach powstawały samorządnie komitety, które troszczyły się o mienie kościelne i zabiegały, by przynajmniej od czasu do czasu przyjeżdżał do nich kapłan, odprawiał Mszę świętą i udzielał sakramentów. Tym kapłanem był właśnie o. Kaszuba. Dojeżdżał więc do Łucka, Zdobunowa, Dubna, Sarn, Ostroga, Korca, a także większych skupisk Polaków w niektórych wioskach, nawet poza dawną granicą Polski, gdzie nadal mieszkali wielu katolików. Oczywiście w większości byli to Polacy świadomi swej narodowości i przynależności do Rzymsko-Katolickiego Kościoła. Duszpasterska praca o. Kaszuby na tak rozległym i zniszczonym obszarze nie była łatwa. Niemal nieustanne podróże oraz przebywanie w terenie wyczerpywały siły i nadwężały nietęgą przeciż zdrowie. O. Serafin nie oszczędzał siebie i nie szukał wygody. Był stale do usług wiernych, którzy z utęsknieniem oczekiwali przybycia duszpasterza. Zapobiegliwie organizował komitety przykościelne, zachęcał wiernych do trwania w wierze i polskich tradycjach, roztaczał opiekę nad dziećmi i młodzieżą pozbawioną polskich szkół i patriotycznego wychowania. Wspólne spotkania Polaków z kapłanem – nie tylko podczas nabożeństwa – krzepiły ich ducha, umacniały w wierze i narodowych przekonaniach.



Przeszło dziesięć lat, ze zmiennymi kolejami losu, trwała ta żmudna praca. Z roku na rok narastały nowe trudności. Grożono lub wprost karano członków komitetów kościelnych, nakładano coraz to nowe podatki, a przede wszystkim pilnie śledzono ożywioną działalność duszpasterską o. Kaszuby. Czynnikiem urzędowym nie podobała się osoba tego kapłana, który niestrudzenie pracował nad podtrzymaniem wiary i polskiego ducha. Chciano za wszelką cenę pozbyć się tego duchowego przywódcy Polaków. Zaczęto rozgłaszać w prasie oszczercze artykuły przeciwko o. Serafinowi. Posłużono się najbardziej niskimi chwytami pomawiając go o niemoralne życie i nadużywanie alkoholu, o oszukiwanie łatwowiernych ludzi i wyłudzenie od nich pieniędzy. Nikt z wiernych w to nie wierzył, gdyż wszyscy dobrze znali swego ukochanego duszpasterza i zdawali sobie sprawę z intencji autorów ogłaszanych artykułów. Dla miejscowych władz administracyjno-politycznych takie artykuły w prasie były potrzebne jako „dowody” przeciwko niewygodnemu kapłanowi. Urzędnik do spraw wyznań w Równem 13 kwietnia 1956 roku wezwał do siebie o. Serafina Kaszubę na rozmowę. Powtórzył mu ogłoszone w prasie zarzuty, a następnie oświadczył, że zostaje pozbawiony wszystkich praw kapłańskich. Wkrótce po tym pozamykano kościoły w Równem i w miejscowościach, do których dojeżdżał. Dla Polaków ogłoszono dodatkową „repatriację”. Wywierano również nacisk na o. Serafina, by wyjechał do Polski; kuszono go udogodnieniami, byle tylko zechciał usunąć się z tamtego terenu. W tej ponownie trudnej sytuacji – w przekonaniu, że ten utrudzony kapłan zasłużył już na odpoczynek w kraju – prosili go siostra i ojciec, radzili przełożeni, by powrócił do Polski. Jednak ponad wszystkie te prośby i perswazje

ważniejsze dlań było niesienie kapłańskiej posługi opuszczonym rodakom. Pozostał z nimi. Była to już trzecia heroiczna ofiara dla chwały Bożej i duchowego pożytku wiernych pozbawionych wszelkiej opieki duszpasterskiej. [O. Hieronim Warachim, „Apostoł Kościoła Milczenia O. Serafin Kaszuba”, Biały Dunajec – Ostróg 2000 r., s. 62-68]

### SÓL ZIEMI CZARNEJ

Jest moim, naszym, wreszcie ojczyzny naszej świętym obowiązkiem, zadbać nie tylko o godne upamiętnienie miejsc, w których spoczywają niewinnie pomordowani, prości, ubodzy ludzie na Wołyniu i na Kresach. Obowiązkiem nas wszystkich jest żywa pamięć o Tych Męczennikach Kościoła Domowego, Tym którzy z miłości do Rzeczypospolitej Polskiej, do ojczyznych, rodzinnych zagród, do polskiej rozmodlonej rodziny, oddali swoje życie. Szli ufnie w niedzielny ranek 11 lipca, szli całymi rodzinami na nabożeństwa, lecz nie wiedzieli, że oto dziś te omodłone ściany Ich Świątyń, staną się Im oto, już niebawem Bramą do życia wiecznego.

Inni z kolei nie chcieli opuszczać rodzinnych chat i zasiólków, w których na ścianach wisiały poświęcone krzyże i święte obrazy. Nie chcieli opuszczać chat, w których przeżyli niemal całe życie i w których marzyli, by dożyć też swych ostatnich dni, mówili: „Ja nic nikomu nie winny, to i mnie ruszać nie będą”. Nie chcieli zostawiać chorych i niedołączonych na pastwę losu i głodu, by nie narażać Ich na pewną śmierć w rozszalałej nawałnicy II wojny światowej. Wreszcie nie chcieli zostawiać dorobku całego życia, owoców pracy całych pokoleń, by iść w objęcia nieludzkiej maszyny hitlerowskiej. Jakże często siadali w ogrodzie, bądź w zbożu i rzewnie płakali w obliczu, tak nieludzkich okoliczności z którymi przyszło Im się



Sluga Boży o. Ludwik Wrodarczyk OMI

zmagać. To właśnie Oni sól ziemi czarnej, ziemi wołyńskiej, żywe zastępy Męczenników Kościoła Domowego, wybieleni we własnej, niewinnej krwi, a dziś przybrani w białe szaty Zmartwychwstałego Baranka, radośni i orędujący za nami u Pana.

W sprawie pamięci o ofiarach ludobójstwa banderowskiego na Kresach episkopat Polski wciąż milczy, jak zakłęty, pisał na swojej stronie, już 21 kwietnia 2013 r. ks. Tadeusz Isakowicz – Zaleski. I dodawał: „Na szczęście rzymskokatolicki episkopat Ukrainy, kierowany przez arcybiskupa lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego, podjął dwie odważne decyzje. Jedna dotyczy beatyfikacji, druga ustanowienia dnia pamięci?”.

Sprawa ma związek z rozpoczęciem procesu beatyfikacyjnego ks. Ludwika Wrodarczyka (OMI). W ciekawym ze wszech miar artykule Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI) ze Lwowa czytamy: „W ramach obchodów 70. rocznicy Tragedii Wołyńskiej Ukraina Konferencja Biskupia poparła podjęcie starań o roz-

poczęcie procesu beatyfikacyjnego ks. Ludwika Wrodarczyka (1907-43) – jednej z ofiar tamtych mordów. Decyzja w tej sprawie zapadła na 41. plenarnym posiedzeniu episkopatu w Berdyczowie w dniach 16-18 kwietnia. Ks. Wrodarczyk był gorliwym duszpasterzem ze Zgromadzenia Oblatów Maryi Niepokalanej (OMI) i został zamordowany w bestialski sposób w grudniu 1943 roku.

Od kilku lat Instytut Pamięci Narodowej – Oddział w Lublinie, Centrum Ucrainicum Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Katolickie Stowarzyszenie «Civitas Christiana» organizują na Ukrainie i w Polsce wystawę «Niedokończone msze wołyńskie. Martyrologium duchowieństwa wołyńskiego, ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich w czasie II wojny światowej». W tym roku zostanie ona wystawiona 14 lipca w katedrze łacińskiej w Łucku. Znajdzie się tam również odnalezione w archiwum zdjęcie ks. oblata Ludwika Wrodarczyka.

Urodził się on 25 sierpnia 1907 w Radzionkowie na Górnym Śląsku w wielodzietnej rodzinie górniczej. W sierpniu 1926 rozpoczął nowicjat w Zgromadzeniu Misjonarzy Oblatów Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej (OMI). Pierwsze śluby zakonne złożył w Markowicach na Kujawach w 1927. Po studiach w oblackim seminarium duchownym w Obrze przyjął 10 czerwca 1933 święcenia kapłańskie. Pierwszą jego placówką było sanktuarium maryjne w Kodniu nad Bugiem. Od początku lipca 1939 posługiwał na Wołyniu. Mimo trudnych lat wojny, która wkrótce wybuchła, owocnie pracował nie tylko duszpastersko w nowo utworzonej parafii w Okopach. «Odnotowano, że młody zakonnik, znając właściwości lecznicze ziół, potrafił nieść ulgę w chorobach swoim parafianom i mieszkańcom wiosek ukraińskich» – powiedział KAI dr Leon Popek z lubelskiego oddziału IPN. Dodał, że w cza-

sie okupacji niemieckiej nie bał się pomagać Żydom. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie nadał kapłanowi pośmiertnie medal «Sprawiedliwy wśród Narodów Świata».

Zdaniem dr. Popka i dr Marii Dębowskiej z KUL – autorów biogramu o męznym oblacie – w nocy z 6 na 7 grudnia 1943, gdy w obawie przed napadem UPA ludność polska w Okopach uciekła do lasu, ks. Wrodarczyk pozostał w kościele. Tam znaleźli go oprawcy i doprowadzili do ukraińskiej wsi Karpilówka. Według jednego z najbardziej wiarygodnych ustaleń po okrutnych torturach ks. Ludwika: ‘nagiego wyrzucono przed dom na śnieg i z rozrąbanej piersi kat wyrwał mu serce’. Od kilku lat przygotowywany jest proces beatyfikacyjny ks. Wrodarczyka”.

## LUDOBÓJSTWO A KOMPROMIS KOŚCIOŁÓW

Przełomem w powyższym spojrzeniu na sprawę ludobójstwa na Wołyniu i Kresach miała być Deklaracja Kościołów z Polski i Ukrainy z dn. 28 czerwca 2013 r. ws. zbrodni wołyńskiej. Przełomu jednak nie było. Niezbyt dyplomatycznie i dość dosadnie wyraził się w tej trudnej kwestii ks. Tadeusz Isakowicz – Zaleski, znakomity znawca tej problematyki i człowiek oddany służbie Kościołowi i Polsce. W wywiadzie „Do rzeczy” z 08 lipca 2013 r. ks. Tadeusz, tak zatem napisał o Deklaracji Kościołów z Polski i Ukrainy w sprawie zbrodni wołyńskiej: „[...] *nie jest on (dokument – red.) przełomem. Nie ma w nim ani słowa o tym, kto, gdzie i dlaczego mordował. Nie ma też ani słowa o stronach konfliktu czy o samym ludobójstwie. [...] w dokumencie sygnowanym przez biskupów katolickich nie ma ani słowa o 180 duchownych [...], którzy zostali zamordowani podczas tego ludobójstwa. Ich mordowano w barbarzyński sposób, niekiedy*

*przycinając pilami na pół [...]*”.

Także inne opracowania, dłuższe i krótsze wypowiedzi i komentarze w internecie, właściwie każde z nich zawiera ziarenka właśnie w powyższym duchu. Zatem niejako reasymując: Deklaracja Kościołów Polski i Ukrainy jest daleko idącym kompromisem obu stron w sprawie niezwykle ważnej, w sprawie ludobójstwa dokonanego na Wołyniu i na Kresach. Po temu jest oczywiste, że wobec tak dwóch bardzo różniących się stanowisk widzenia, kompromis musiał być trudny i bolesny, ale to trzeba jasno nazwać i powiedzieć. To nie Ofiary ludobójstwa są winne dziś tym różnicom i wciąż rodzącym się z tego problemom, ale sprawy i to nie pan Płk Jan Niewiński oraz inni Kresowianie są winni napięć, powstających na tej linii stosunków międzynarodowych, ale ci którzy idą w zaparte, odmawiając uznania swej odpowiedzialności za okrutne ludobójstwo. Naturalnie przy całym szacunku dla Kościołów i wypracowanego porozumienia, Kresowianie nie spoczną i będą walczyć do końca. Będą walczyć, aby prawda została powiedziana do końca i aby to właśnie prawda powiedziana z miłością, zwyciężyła w tym sporze, a nie daleko idący kompromis, obliczony na poszukiwanie pokoju, w jakimś sensie „za wszelką cenę”.

Sprawa Deklaracji Kościołów Polski i Ukrainy z czerwca 2013 r. będzie jeszcze wielokrotnie powracać jest bowiem zbyt ważnym dokumentem, by pozostała zapomniana, bądź by miała być przemilczana przez historyków, jak i znawców tematu oraz miłośników Kresów.

*Sławomir Tomasz Roch*

Glasgow (Scotland), 4 lutego 2014 r.



Міędzy sąsiadami - Між сусідами

## NA UKRAINIE TRWA ZBRODNIA PRZECIW LUDZKOŚCI

*List Jurija Andruchowycza*

„Nie możemy zakończyć protestów, bo to będzie znaczyło, że godzimy się na kraj w postaci dożywotniego więzienia”. Jurij Andruchowycz, ceniony ukraiński poeta, prozaik, eseista i tłumacz, napisał przejmujący list, w którym opisuje aktualną sytuację na Ukrainie.

Drodzy przyjaciele, a przede wszystkim zagraniczni dziennikarze i redaktorzy, w ostatnich dniach dostając od Was wiele listów z prośbami o opisanie aktualnej sytuacji w Kijowie i na całej Ukrainie, wyrażenie opinii na temat tego, co się dzieje i przedstawienia wizji najbliższej choćby przyszłości. Ponieważ nawet fizycznie nie jestem w stanie napisać dla każdego z Waszych czasopism z osobna obszernego artykułu analitycznego, postanowiłem przygotować ten krótki list, którym każdy z Was może się posłużyć w zależności od swoich potrzeb.

Najważniejsze rzeczy, o których chcę Wam powiedzieć, są następujące.

W ciągu niespełna czterech lat swoich rządów reżim pana Janukowycza doprowadził kraj i społeczeństwo do skrajnego napięcia. Co gorsza – sam siebie wepchnął w ślepy zaułek, w którym musi utrzymać się u władzy na zawsze i wszelkimi sposobami. Inaczej czeka go surowa kara za przestępstwa kryminalne. Rozmiary kradzieży i uzurpacji przekraczają najśmielsze wyobrażenia o ludzkiej zachłanności.

Jedyną odpowiedzią, której ten reżim trzeci już miesiąc używa wobec pokojo-

wych protestów, jest przemoc, w dodatku eskalująca, w dodatku „kombinowana”: ataki policyjnych oddziałów specjalnych na Majdan są połączone z indywidualnym prześladowaniem opozycyjnych aktywistów i zwykłych uczestników akcji protestacyjnych (śledzenie, pobicia, palenie samochodów, domów, wdzieranie się do mieszkań, aresztowania, taśmociąg procesów sądowych). Kluczowe słowo to zastraszanie. Ponieważ to nie działa i protesty stają się coraz bardziej masowe, represje ze strony władzy są coraz bardziej brutalne.

„Podstawę prawną” stworzono dla nich 16 stycznia, kiedy całkowicie zależni od prezydenta deputowani, łamiąc wszystkie możliwe zasady regulaminu, porządku obrad, procedury głosowania i wreszcie Konstytucji, ręcznie (!), w ciągu kilku minut (!) przyjęli cały szereg zmian prawnych, które w istocie wprowadziły w kraju dyktaturę i stan wyjątkowy nawet bez jego ogłaszania. Na przykład ja, pisząc i rozpowszechniając te słowa, już podpadam pod kilka artykułów kodeksu karnego za różne „oszczerstwa”, „podżeganie” itp.

Krótko mówiąc, jeśli uznać te „prawa”, to należy przyjąć, że na Ukrainie zakazane jest wszystko, co nie jest dozwolone przez władzę. A władza zezwala tylko na jedno: ukorzenie się przed nią.

Nie godząc się z takimi „prawami”, ukraińskie społeczeństwo 19 stycznia kolejno już raz masowo wystąpiło w obronie swojej przyszłości.

Dziś w telewizyjnych wiadomościach, w migawkach z Kijowa, możecie zobaczyć protestujących w różnego rodzaju hełmach i maskach na twarzach, czasem z drewnianymi kijkami w rękach. Nie wiercie, że to jacyś „ekstremiści”, „provokatorzy” czy „prawicowi radykałowie”. Ja i moi przyjaciele też wychodzimy teraz na manifestacje z tego rodzaju ekwiwipunkiem. W tym sensie „ekstremistami” jesteśmy dziś ja, moja żona, córka, nasi przyjaciele. Nie mamy wyjścia: chronimy życie i zdrowie własne i naszych bliskich. Strzelają do nas żołnierze policyjnych oddziałów specjalnych, ich snajperzy zabijają naszych przyjaciół. Liczba protestujących, zabitych tylko w okolicy siedziby rządu w ciągu ostatnich dwóch dni, według różnych danych sięga 5-7 osób. Liczba tych, którzy w całym Kijowie przepadli bez wieści, sięga dziesiątków ludzi.

Nie możemy zakończyć protestów, bo to będzie znaczyło, że godzimy się na kraj w postaci dożywotniego więzienia. Młode pokolenie Ukraińców, którzy wyrosli i dojrżeli w epoce postradzieckiej, organicznie odrzuca wszelką dyktaturę. Jeśli dyktatura zwycięży, Europa musi liczyć się z perspektywą pojawienia się Korei Północnej na swojej wschodniej granicy i, według różnych szacunków, z 5 do 10 milionów uchodźców. Nie chcę Was straszyc.

Ta rewolucja jest rewolucją młodych. Swoją niewypowiedzianą wojnę władza toczy przede wszystkim przeciwko nim. Z zapadnięciem zmroku po Kijowie zaczynają krążyć nieznane ugrupowania jakichś „ludzi po cywilnemu”, którzy wyłapują przede wszystkim młodych, szczególnie z symbolami Majdanu i Unii Europejskiej. Porywają ich, wywożą do lasu, gdzie rozbierają i katują na trzaskającym mrozie. Dziwnym trafem ofiarami takich porwań najczęściej padają młodzi artyści – aktorzy, malarze, poeci. Powstaje wrażenie, że

do kraju wpuszczono jakieś „szwadrony śmierci”, których zadaniem jest zniszczenie wszystkiego, co najlepsze.

Jeszcze jeden charakterystyczny szczegół: w kijowskich szpitalach siły policyjne urządzają zasadzki na rannych protestujących, wyłapują ich tam i (powtarzam: rannych!) wywożą na przesłuchania w nieznanym kierunku. Szukanie pomocy w szpitalu stało się skrajnie niebezpieczne nawet dla przypadkowych przechodniów, trafionych przypadkowym odłamkiem z policyjnego granatu. Lekarze tylko rozkładają ręce i oddają pacjentów w ręce tzw. „obrońców prawa”.

Podsumowując: na Ukrainie z pełną siłą trwa zbrodnia przeciwko ludzkości, za którą odpowiedzialna jest obecna władza. Jeśli w tej sytuacji rzeczywiście istnieją jacyś ekstremiści, to jest to najwyższe kierownictwo kraju.

Teraz w kwestii dwóch Waszych tradycyjnie najtrudniejszych dla mnie pytań: nie wiem, co będzie dalej, podobnie jak nie wiem, co możecie dziś dla nas zrobić. Ale możecie w miarę możliwości i kontaktów rozpowszechnić ten mój list. I jeszcze – współczuć nam. Myślcie o nas. I tak zwyciężymy, nieważne, jak oni będą się wściekać. Europejskich wartości wolnego i sprawiedliwego społeczeństwa naród Ukrainy broni już dziś – bez przesady – własną krwią. Mam nadzieję, że to docenicie.

*Jurij Andruchowycz*

Źródło:

<http://www.polskieradio.pl/8/196/Artykul/1032642,Na-Ukrainie-trwazbrodnia-przeciwko-ludzkosci-List-Jurija-Andruchowycza->



## Świętymi bądźcie - Святими будьте - Sancti estote RATOWAŁ DUSZE NA ZIEMI BEZ BOGA

*„W tym piekle zła, niesprawiedliwości, krzywdy, bólu i cierpienia szukałem człowieka – wzoru dla siebie. Tym wzorem człowieka i kapłana był dla mnie przez dziewięć lat w łagrach ks. Władysław Bukowiński – wspominał greckokatolicki duchowny Eliaz Głowacki. – Wysoki, wychudły, w lichym odzieniu, lecz zawsze pogodny i uśmiechnięty. Ile światła, pociechy i siły wlewały w nasze serca Jego słowa, dzięki którym przetrwaliśmy. Kontakty z Nim podtrzymywały mnie na duchu, rozumiałem wartość cierpienia, dzięki czemu nie załamalem się”.*

Za wierność Bogu i misji duszpaste-rza przyszło zapłacić Słudze Bożemu ks. Władysławowi Bukowińskiemu ponad trzynastoma latami sowieckich więzień i łagrów. Mógł w latach 50. wrócić do Polski, lecz pozostał z kazachskimi katolikami, narażając się na szykany i aresztowanie. Niepojęty jest ten bezmiar poświęcenia w czasach triumfu antywar-tości, mody na wyświechtane frazesy o „samorealizacji” i „prawie do szczęścia”; w czasach małych ludzi kreowanych na celebrytów i głośnych medialnych karier księży – nielicznych na szczęście – którym kamery przesłoniły powołanie.

### OCALAŁ Z MASAKRY

Święcenia kapłańskie ks. Władysław Bukowiński przyjął z rąk ks. kard. Adama Sapiehy, metropolity krakowskiego, w 1931 roku, kiedy miał 27 lat. Zanim przyjechał na Wołyń, był kapłanem w Rabce i Suchej Beskidzkiej. Urodzony w Berdyczowie na Żytomierszczyźnie, chciał bar-

dzo pracować na Kresach. Gdy wreszcie wysłano go do Łucka, rzucił się w wir miejscowego życia. W ciągu czterech lat do 17 września 1939 roku dał się poznać wszystkim jako nauczyciel religii w szko-łach i wykładowca w wyższym semina-rium duchownym.

Po inwazji ZSRS na Polskę władze kościelne mianowały go proboszczem katedry w Łucku, ponieważ potrzebny był tam człowiek umiejący radzić sobie w trudnych sytuacjach, mówiący biegle po rosyjsku. Jeśli ktoś miał ochronić wier-nych i wywalczyć sobie u Sowieców au-torytet, mógł to być tylko ks. Władysław. Jednak i jego dosięgła w końcu ręka „cze-kistowskiej sprawiedliwości”. Aresztowa-ny w sierpniu 1940 roku, został skazany na osiem lat łagrów. Wybuch wojny mię-dzy III Rzeszą a ZSRS zastał go jeszcze w łuckim więzieniu.

23 czerwca 1941 roku, gdy armia nie-miecka zbliżała się do miasta, NKWD dostało rozkaz „opróżnienia” miejscowego więzienia, gdzie przetrzymywano Polaków i Ukraińców. Ludzie spędzeni na dziedzińcu ginęli od salw karabinów ma-szynowych. Tego jednego dnia w łuckim więzieniu zastrzelono około trzech tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci. „Na dziedzińcu leżał mężczyzna z rozprutym brzuchem – wspominał Wojciech Podgórski. – Ukląkł przy nim człowiek w czarnych spodniach i białej, brudnej, podartej koszuli. Powie-dział, że jest księdzem i chce nas przygo-tować na śmierć. Był to ks. Bukowiński. Wszyscy żywi i mniej ranni pokłękali, a ksiądz recytował modlitwy przeznaczo-

ne na taką okoliczność”. Kapłan cudem uniknął śmierci – kula przeleciała tuż obok jego głowy, nie czyniąc mu krzywdy.

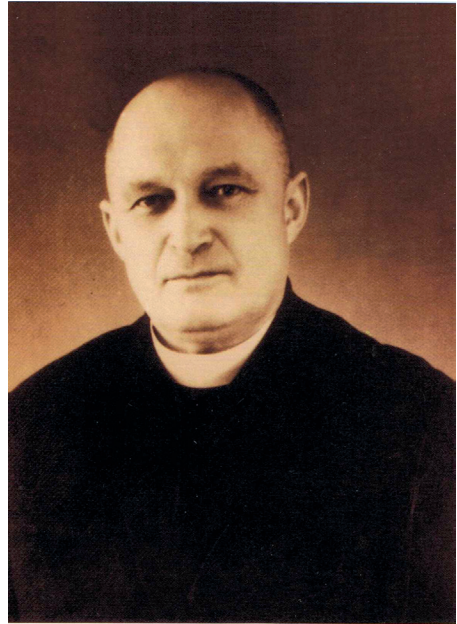
On sam zapamiętał tę chwilę: „Byłem dziwnie spokojny. Całe moje wówczas 36-letnie życie skurczyło się do jakiejś znikomej chwili. Myśl moja pracowała niezwykle intensywnie. Przeżywałem koniec doczesności i brzask wieczności. (...) Duch krążył swobodnie między doczesnością a wiecznością”.

### POD DWIEMA OKUPACJAMI

Ocalały z masakry 23 czerwca 1941 roku, wrócił do swojej parafii w katedrze, gdzie zaczął się dla niego czas ciężkiej pracy konspiracyjnej.

Ratował żydowskie dzieci, znajdując dla nich bezpieczne schronienie w katolickich rodzinach, troszczył się o polskich uciekinierów, docierał do więźniów na gestapo.

W książce „Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół” znalazły się relacje osób pamiętających czasy okupacji sowieckiej i niemieckiej. „Szybko zrozumieliśmy, że zarówno On, jak i my traktowani jesteśmy przez przybyłych ze Wschodu jako wrogowie – wspomina jeden z jego uczniów. – Katechizacja odbywała się jednak jawnie w głównej nawie kościoła, choć oczywiście mieliśmy nieograniczony wstęp także do zakrystii, gdzie ks. Władysław Bukowiński pokazywał nam różne sprzęty. Był w bliskich kontaktach z rodzicami, i to nie tylko chodząc po kołędzie. Po latach dowiedziałem się od Mamy, że starał się – i zalecał innym – pamiętać jak najmniej nazwisk, by w razie przesłuchań w NKWD nie dawać pretekstów do aresztowania innych. Również po latach uświadomiłem sobie, że wspierał wszelkimi sposobami Żydów z getta w czasie okupacji niemieckiej. W kościele wypisywano metryki. Ks.



Sluga Boży Ks. Władysław Bukowiński

*Bukowiński organizował pomoc zarówno dla Żydów, jak i więzionych w Łucku jeńców sowieckich, morzonych głodem”.*

### KAPŁAN – NOCNY STRÓŻ

W więzieniu znalazł się po raz drugi w styczniu 1945 roku, zgarnięty przez NKWD wraz z biskupem łuckim i innymi kapłanami, gdy Armia Czerwona parła na Zachód. Tym razem wyrok brzmiał: dziesięć lat obozu. „22 stycznia wyjeżdżaliśmy z Łucka pod konwojem – wspominał tę chwilę. – Patrząc z samochodu więziennego na znikający nam z oczu Łuck wraz z całą kopułą katedry, jasno pojąłem, że Łuck to przeszłość bezpowrotnie miniona w moim życiu i w dziejach Polski współczesnej. Co przyniesie przyszłość?”. Moment ten określał później jako jeden z dwóch przełomowych w swoim życiu – gdy „przeszłość kończy się bezpowrotnie, a wkracza przyszłość całkiem nowa”.



### Polscy zesłańcy w Kazachstanie

Fot. Archiwum

Pognano go najpierw do pracy na Uralu, później trafił do kopalni miedzi w okolicach Karagandy w Kazachstanie. Uwolniony w 1954 roku, został zesłany na przymusowe osiedlenie w Karagandzie, gdzie musiał zgłaszać się każdego miesiąca do NKWD i nie miał prawa bez pozwolenia opuszczać miasta.

Nie wiedział jeszcze wówczas, że właśnie w Kazachstanie przyjdzie mu spędzić resztę życia. Jako zesłaniec musiał mieć stałe zatrudnienie. *„Wziąłem taką pracę, która dawała mi stosunkowo dużo wolnego czasu na pracę duszpasterską. Pracowałem co drugą noc jako stróż nocny”* – czytamy w jego pamiętnikach.

A życie w Azji Środkowej było bardzo trudne. Najniższe temperatury zimą dochodzą w Karagandzie do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza, letnie sięgają czterdziestu stopni. Dla człowieka urodzonego w Polsce klimat kontynentalny bywa zabójczy. Ksiądz Władysław aż do śmierci w 1974 roku nie chciał jednak wrócić z ZSRS, uważał bowiem, że jego miejsce jest wśród prześladowanych.

Przyjął obywatelstwo sowieckie – i to był drugi przełomowy moment w jego życiu. *„Dokonał się tak prosto i zwyczajnie. Tym razem ja sam dobrowolnie pokierowałem własnym życiem, doskonale zdając sobie sprawę z podjętej decyzji”*. Gdy w

czerwcu 1955 roku lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że *„zapisują na repatriację”*, każdy biegł do komendantury. Tymczasem ks. Bukowiński na propozycję wyjazdu do Polski odpowiedział: *„Pragnę pozostać”*.

### „JESTEM DOMOKRAŻCA”

Konsekwencją tej decyzji poniósł trzy lata później, kiedy w 1958 roku aresztowano go po raz trzeci i osądzono. Na pytanie śledczego, dlaczego nie wyjechał, odpowiedział, że uczynił to *„ze względów ideowych, dla pracy duszpasterskiej wśród tak bardzo jej potrzebujących, a niemających swoich kapłanów katolików Związku Sowieckiego”*. *„Tak, tak, Bukowiński, zdemoralizowaliście dużo ludzi”* – odparł sędzia.

Tak właśnie komunistyczny czynownik podsumował najpiękniej owoce wiekoletniej posługi kapłańskiej. *„Demoralizował”* ks. Bukowiński ludzi, jak tylko potrafił – przed aresztowaniem i po wyjściu z łagru w 1961 roku. Nic nie mogło go powstrzymać – ani brak zezwoleń, ani zakaz wyjazdów. Służył Polakom wygnanym z okolic Kamieńca, Żytomierszczyzny oraz Winnicy i Niemcom rzuconym wolą Stalina w głąb Azji znad Wołgi, gdzie mieszkali od końca XVIII wieku.

Objeżdżał wsie, sprawował Najświętszą Ofiarę w domach, tam spowiadał, chrzczył, udzielał ślubów. *„Jestem ustawicznie domokrażcą. Całe moje duszpasterstwo dokonuje się w cudzych domach, lecz w żadnym wypadku nie w jednym”* – pisał we wspomnieniach zredagowanych podczas pobytu w Polsce w 1969 roku. *– Mszę św. w naszych warunkach trzeba odprawiać raniutko lub wieczorem. Ołtarz – zwyczajny stół z białym obrusem. Na stół kładzie się duże pudełko lub dwie grube książki, przykrywa się białą chustką i stawia krucyfiks”*.



Potem zaczynał spowiadać, o dziewiątej wieczorem odbywała się Msza św., po niej znów spowiedź... A były to spowiedzi szczególne: ludzie ci nie widzieli księdza przez kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt lat. *„Wreszcie krótki spoczynek nocny. Krótki, bo kładę się zwykle po północy, a już o 5 lub 6 rano jest poranna Msza św., a potem dalej spowiedź, czasami chrzty i namaszczenia olejami świętymi, czasami śluby. Ponieważ to się powtarza wciąż na nowo w różnych domach, więc śpiam częściej w cudzych łóżkach niż w swoim własnym”*. Błogosławił pary żyjące ze sobą od wielu lat. *„Miałem i takie wypadki, że dawałem równocześnie ślub ojcu i synowi, matce i córce”* – wspominał. Do I Komunii Świętej przystępowali dorośli – zapamiętał 52-letnią wdowę. *„A takich, którzy przyjęli u mnie komunię św., mając 40 lat, trudno by porachować”* – odnotował.

Na odprawiane potajemnie Msze św. przybywało w niedziele około setki wiernych z okolicy, w dzień powszedni – około 50. Schodzili się często i Polacy, i Niemcy. Wtedy czytał Ewangelię w obu językach, a kazanie głosił po rosyjsku, żeby rozumieli wszyscy.

*„MY TAKIE SIEROTY...”*

Ludzie, którym odebrano Kościół, oczekiwali go i przyjmowali jak objawienie. W 1957 roku, gdy objeżdżał wioski w okolicach Alma-Aty, w jednej z nich stary mieszkaniec powitał go słowami: *„Wywieźli nas pod te góry, zostawili tutaj i wszyscy zapomnieli o nas. Nikt nas nie pamiętał. Dopiero Ojciec Duchowny do nas przyjechał. My takie sieroty, my takie sieroty...”*. Płakali wszyscy, a ks. Bukowiński z nimi. *„Ale były to dobre lzy”* – zapamiętał.

Pod koniec lat 50. udało mu się zdobyć stałe pomieszczenie do celów liturgicznych. Jak powstawały takie potajemne



świątynie? *„Wierni składali ofiary, kupowano dom. Usuwano kilka wewnętrznych ścian i w ten sposób (...) powstawał jeden wielki pokój”*. Wystarczyło urządzić ołtarz, poświęcić Boży przybytek i zaczynały się nabożeństwa. Jego kościółek przetrwał zaledwie rok.

Przed uwięzieniem i po zwolnieniu odbył, jak sam pisał, *„osiem wielkich wypraw misyjnych”*: do Turkmenistanu, na południe w okolice Alma-Aty, gdzie mieszkali Polacy wysiedleni w 1936 roku z Ukrainy, na wschód i do Semipałatyńska. *„Tylko na północ od Karagandy nie urządziłem żadnych większych wypraw misyjnych, bo tam działali ks. Bronisław Drzepecki i ks. Józef Kuczyński”* – najbliżsi przyjaciele, jak on gotowi poświęcić wszystko dla ratowania dusz w kraju bez Boga. Pierwszy z nich spędził w obozach i więzieniach 15 lat, a drugi – 17.

Nigdy nie ustawał w walce o duszę człowieka odartego z wiary. A mimo to

dręczyły go skrupuły: „Nieraz miewałem poważne wątpliwości, czy nie bywałem zbyt wygodny czy ostrożny – pisał. – Kiedy ks. Józef Kuczyński odsiadywał siedem lat za dwa i pół roku swojej pracy w Kazachstanie, nieraz mówił mi: «Bardzo ciężko jest siedzieć siedem lat, gdy się już przedtem siedziało dziesięć. Ale muszę przyznać, że za tamte dwa i pół roku oplaci się znowu siedzieć»”.

### „TEGO SZCZĘŚCIA NIE ZAMIENIŁBYM NA ZASZCZYTY”

Kiedy ucisk chrześcijan nieco zelżał, ks. Bukowiński mógł sprawować swoją posługę jawnie. Pozwolono mu też wyjeżdżać do Polski, gdzie więści ze Wschodu wyczekiwał kardynał Karol Wojtyła. „Wszystkiego, co wiem o Kazachstanie, dowiadywałem się od księdza Bukowińskiego” – wspominał, gdy już był Papieżem. Podczas trzech pobytów w kraju zatrzymywał się w krakowskiej parafii św. Floriana, gdzie działa dziś Stowarzyszenie im. ks. Władysława Bukowińskiego „Ocalenie”, szerzące jego kult – od 2006 roku trwa proces beatyfikacyjny duchownego.

Powoli organizm wyczerpany wieloletnią posługą ponad siły zaczął odmawiać księdzu Władysławowi posłuszeństwa. W 1962 roku, kiedy miał 58 lat, pisał już o starzeniu się: „Jest to sztuka umiejętnego likwidowania remanentów doczesnych i wkraczania w wieczność z wiarą, nadzieją, miłością, no i skruchą, oczywiście”. Mimo utrudzenia dożył siedemdziesiątki, wyjeżdżając do wsi i miasteczek sowieckiej Azji Środkowej. Po śmierci w 1974 roku jego ciało przyjęła na zawsze kazachska ziemia.

Pracę dla wygnańców na Wschodzie uważał za szczególną Bożą łaskę. „Któregoś dnia czerwcowego przejeżdżałem z jednej wioski do drugiej – wspominał. – I wówczas poczułem się bardzo szczęśliwy

i wdzięczny Opatrzności za to, że mnie tam przyprowadziła do tych tak biednych i opuszczonych, a przecież tak bardzo wierzących i miłujących Chrystusa. Tego szczęścia doznanego na trzęsącej się furcie nie zamienilbym na największe zaszczyty i przyjemności”.

**Anna Zechenter**

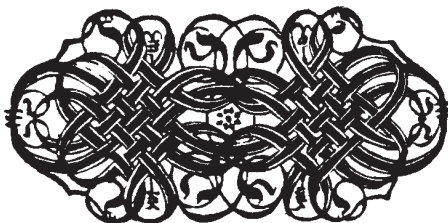
Źródło:

„Nasz Dziennik” nr 301 (4840) z 28-29 grudnia 2013 r. // <http://www.naszdziennik.pl/wp/63687,ratowal-dusze-na-ziemi-bez-boga.html>

## MODLITWA O BEATYFIKACJĘ

*Boże Ojcze, który zleciłeś dusz-pasterską posługę Twemu Słudze Ks. Władysławowi nawet w więzieniach i łagrach, obdarzając go wielką wiarą, odwagą i przebaczącą miłością, udziel i mnie tych samych darów potrzebnych do życia Ewangelią we współczesnym świecie. Za przyczyną Twego Sługi wysłuchaj moją modlitwę i obdarz mnie łaską, której tak bardzo potrzebuję...*

*Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.*



**Написали до нас** - Написали до нас

## JESZCZE RAZ DO OSTROGA

Pierwszy raz byłem w Ostrogu w 1971 roku, w sierpniu. Powracając stamtąd do domu, myślałem już o ponownych odwiedzinach. Przeglądając teraz kartki świąteczne i listy otrzymywane od poznanych tam przyjaciół (jeżeli mogą tak ich nazywać?), prócz słów serdecznych, znajduję pytania o ponowny przyjazd. Dwa tamtejsze adresy okazały się być ważne; nauczyciela Piotra Andruchowa (miła żona Nina!), świetnie mówiącego po polsku, i kustosa w muzeum, posługującego się naszym językiem z niewielkimi błędami, ale z racji zajęć zawodowych bliskiego tradycji, którą można by uznać za wspólną dla wszystkich ludzi kultury. Tym drugim był Aleksy Fridrich, chętnie pokazujący eksponaty, opowiadający o życiu w muzeum, różnych zdarzeniach między muzealnikiem a odbiorcą. Niespodzianką był pokazany wpis w księdze pamiątkowej, sygnowany przez Józefa Piłsudskiego. Piłsudski przybył do Ostroga, aby wręczyć 6 sierpnia 1924 roku sztandar ufundowany przez mieszkańców powiatu dla stacjonującego w mieście 19 Pułku Ułanów Wołyńskich. Dowódcą pułku był ppłk. Zygmunt Brochwicz-Lewiński, architekt wykształcony w Petersburgu, związany z ruchem niepodległościowym od przybycia do Lwowa w 1904. Żona pułkownika Zofia opisała pobyt marszałka w londyńskim „Tygodniu Polskim”, dodatku do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” (nr 9/1968). W bardzo serdecznych słowach, również o wcześniejszym spotkaniu z marszałkiem w Warszawie i późniejszym w Sulejówku, gdy był ojcem chrzestnym ich córeczki (pułkownik odszedł z Ostroga w 1927 i wrócił z rodziną do stolicy). Pani Zofia

jako jedna z niewielu świadków wydarzenia pułkowego wspomniała o pobycie Piłsudskiego w muzeum, gdzie podejmował gości kustosz płk. Zawadzki, nazwany przez nią „staruszkciem”, służącym ongiś w wojsku carskim. Bardzo żałuję, że nie wynotowałem wówczas wpisu marszałka, podejrzewając, że został gdzieś opublikowany. Niestety, nie znalazłem go dotąd i wydaje mi się, że był tylko sygnowanym cytatem z przemówienia Piłsudskiego wygłoszonego w styczniu 1920 w Równem lub w Łucku (oba są podobne). Kazimierz Świtalski powiadał zresztą o niedrukowaniu takich tekstów we wstępie do jednego z tomów „Pism zebranych” (por. V/1937). O ile pamiętam, było tam coś bliskiego mowie w Łucku: „*Wołyń zaludniony jest przez różne narodowości, religie i języki. Jeśli ludzie nie będą sobie okazywali szacunku i zaufania, to stan dzisiejszy się nie ostanie*”. Było to zdanie naturalne w ustach człowieka z kresów, który tylko tak mógł widzieć warunki egzystowania przywracanego do życia państwa. Warto przyjrzeć się w muzeum na nowo wpisowi Piłsudskiego. W Ostrogu odwiedził on także kościół, sobór i synagogę, w której chór żegnał go śpiewem „Boże coś Polskę”. W świecie marszałka byli m.in. polityk Walery Sławek i historyk gen. Marian Kukiel.

Fridrich pozwolił mi przeczytać ów wpis przy starym stole pod oknem, przy którym zapewne usiadł również Piłsudski. Stąd w dole za Wilją widać było Nowe Miasto, wówczas poza granicą państwa. Samo takie ujęcie osoby przy oknie przywołuje znane w ikonografii sceny budzące u historyka sztuki czy po prostu u miłośnika ksiąg sentymenty bliskiej dawności.



**Marszałek Józef Piłsudski wychodzi z Muzeum im. Ostrogskich**

*Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie / „Karta”*

Przepraszam tu za taką moją słabość... Fridrich któregoś razu napisał, że przed wojną mieszkał w Chorowie, czyli był zapewne świadkiem przejazdu tędy marszałka z dworca w Ożeninie. Piłsudski zatrzymał się tam, aby wysłuchać mowy powitalnej wygłoszonej po ukraińsku przez zastępcę wójta, a osadnicy wojskowi odprowadzili go stamtąd do pobliskiego Ostroga. Fridrich odnalazł koleżankę w Malborku, córkę posterunkowego, który wraz z rodziną wynajmował mieszkanie w jego domu w Chorowie. Dodawał też, że w latach 30. miał trzynaście lat. W innym liście wyznawał mi, że „za polskich czasów pracowałem kilka lat introligatorem”. A teraz, dodawał, mógłby restaurować np. starodruki, nieraz bardzo zniszczone, które wraz z różnymi książkami gromadził zewsząd. Ale to wymagałoby odstąpienia od innych zajęć, przy identyfikowaniu

i opracowywaniu zbiorów, wysyłaniu obrazów do konserwacji, wreszcie zmianach w ekspozycji. Nb. pokazał mi m.in. projekt rekonstruowanej cerkwi zamkowej, z poprawkami w kształcie hełmowej, z poprawkami w kształcie hełmowej, wniesionymi przez Mikołaja II. Był to ciekawy przyczynek do historii ochrony i konserwacji zabytków, aktywnych w okresie zbliżającego się trzystulecia panowania Romanowych (w 2013 roku pamiętano w Rosji i na emigracji o 400. leciu!). Na cerkiewnej emporze Fridrich pokazał mi zbiór pięknie wydanych przed 1914 rokiem polskich książek, m.in. o sztuce. Ukrywał je tam przed zalecanym zniszczeniem. A po wyjściu z cerkwi zauważyłem staruszki zaglądające przez otwór od klucza do jej nieczynnego od dawna wnętrza. Jedna powiedziała po cichu do drugiej, że dałaby miesięczną rentę za posprzątanie w środku...

Cóż jeszcze o Fridrichu. Wiem, że miał nadto lekcje w szkołach (żona była nauczycielką?). W styczniu 1976 napisał: „*Pomalutku z żoną się starzejemy*”. Czy np. Alojzy Fridrich, autor książki o cudownych obrazach NMP w Polsce, wydanej w 1904 w Krakowie, był krewnym lub powinowatym? Jakie sam miał wykształcenie? Mieszkał z żoną w Ostrogu, zięć z córką i wnuczką zajmowali dom w Chorowie, jak mnie powiadał. Jednak jego oddanie sprawom muzealnym było na pierwszym miejscu. I ujmowała mnie serdeczność, z jaką mnie traktował. Marzy mi się jego biografia, napisana w muzeum albo jako praca dyplomowa w Akademii Ostrogskiej. Tak bardzo potrzeba nam słownika biograficznego kolekcjonerów i muzealników, tutaj jak i na Wołyniu, czy na całej Ukrainie.

Ważną częścią biografii Fridricha byłaby analiza jego rozległej korespondencji, jaką prowadził z osobami zajmującymi się sprawami wołyńskimi, w samym Związku Radzieckim jak i poza nim. Np. w jednym z listów dowiaduję się o czymś, o czym zupełnie zapomniałem. Otóż w 1975 zmarł w Kałudze w wieku 84 lat Samojułowicz, który słuchał ongiś w szkole wykładów Konstantego Ciołkowskiego, a przygotowywał o nim książkę. W ostatnim odczycie miał mi dziękować za nadesłane informacje o rodzinie owego twórcy astronautyki! Działo się to naturalnie za przyczyną Fridricha. Mnie z kolei ciekawiła osoba wybitnego rzeźbiarza Tomasza Oskara Sosnowskiego, urodzonego w 1810 w niedalekim Nowomalinie (nb. urodził się tam Jan Dowgiałło, syn ostatniego właściciela zamku, prof. hydrogeologii, ambasador w Izraelu w latach 1990-93, inicjator powołania katedry kultury i historii polskiej na uniwersytecie w Jeruzolimie). Ze zrujnowanej w czasie wojny kaplicy zamkowej Fridrich uratował marmurową płaskorzeźbę Sosnow-

skiego, przedstawiającą Matkę Boską z Dzieciątkiem, rozbitą na trzy części, które skleił i włączył do zbiorów. Napisał o tym ks. Jerzemu Langmanowi (1903-1982) do Rzymu, z którym od pewnego czasu był w kontakcie. Ten przysłał mu w 1971 swoje „*Szkice o rzeźbie religijnej Oskara Sosnowskiego*”. W 1976 nie był pewny czy Langman jeszcze żyje, bo od pewnego czasu nie miał od niego listów, a mógłby mu podać niektóre szczegóły, które znalazł „*w dawnych papierach kościelnych i domowych Nowomalińskich*”. Lechosław Lameński w 1997 opublikował swoją pracę habilitacyjną pt. Tomasz Oskar Sosnowski (1810-1886), z której wynikało, że zbierając materiały był także w Ostrogu, w muzeum krajoznawczym. Nie odnotował tam zasług Fridricha, podobnie nie ma ich w tekście o Sosnowskim Jarosławy Bondarczuk, obecnej kuratorki muzeum (por. „*Wołanie z Wołynia*”, 6/1996) [Pani J. Bondarczuk była swego czasu kustoszem innego muzeum – Muzeum Akademii Ostrogskiej – przyp. „*WzW*”]. Langman był postacią niezwykłą; syn i wnuk krakowskich rzeźbiarzy, historyk sztuki i archeolog śródziemnomorski, kolekcjoner, wykładowca akademicki, dziennikarz i publicysta, po wojnie zamieszkały w Rzymie, gdzie w 1951 został księdzem. Piękne wspomnienie o nim napisała Małgorzata Biernacka-Lubańska, profesor archeologii śródziemnomorskiej (zob. „*Meander*”, 11-12/1993 i nadb.). I może wspomnę tu jeszcze historyka i bibliotekarza Romana Aftanazego (1914-2004) z Wrocławia, któremu Fridrich starał się pomagać w zbieraniu materiałów, najpewniej ikonograficznych, do przygotowywanego 11-tomowego dzieła poświęconego dziejom rezydencji na kresach (tom 5 obejmował woj. wołyńskie, wg podziału administracyjnego sprzed 1772). Ten zasłużony historyk i bibliotekarz związał się z Ossolineum jeszcze w 1944, pomagając



w pakowaniu zbiorów na wywóz do Wrocławia. Odbywało się to pod kierunkiem prof. Mieczysława Gębarowicza (1893-1984), sprawującego od 1943 funkcję dyrektora Zakładu Narodowego, zresztą we Lwowie pozostałego do końca swojego życia. Miałem szczęście odwiedzić tam profesora z moim kolegą pod koniec 1980 roku. Nb. ten wielki humanista i historyk sztuki ma od 2013 roku pierwszą, obszerną monografię, sporządzoną we Wrocławiu przez Macieję Matwijowa.

Pobyt w Ostrogu udało mi się, bez formalnego zezwolenia, wykorzystać na wyjazd do Równego i Międzyrzecza Ostrogskiego, w którym jest klasztor po-franciszkański, znany mi z lektury rozprawy Kazimierza Molendzińskiego (por. „Rocznik Wołyński”, 4/1935 i nadb.). Była ona doktoratem przygotowanym pod kierunkiem Vojslava Mole i obronionym w 1932 na UJ. Warto pamiętać, że profesor był twórcą historii sztuki bizantyjskiej w Polsce. Molendziński urodził się w 1903 na Kaukazie, zabity został w Katyniu. Byłem też w Krzemieńcu i Poczajowie. W Krzemieńcu, w sieni przed pokojami mieszczącymi muzeum Juliusza Słowackiego znajdował się wielki obraz przedstawiający żołnierzy polskich zdobywających w 1920 wieś ukraińską.

Jeden z nich rozbijał główkę niemowlęcia o ścianę chałupy. Teraz muzeum jest już w innym miejscu, bez komentującego polską sprawę obrazu. A w czynnym tam kościele katolickim, na początku nawy południowej, wstrząsająca płaskorzeźba upamiętniająca stulecie urodzin Słowackiego (1909), wykonana przez Wacława Szymanowskiego, autora pomnika Chopina w parku Łazienkowskim w Warszawie. Na niej fragment sławnego wiersza poety „Testament mój” – „Lecz zaklinam niech żywi nie tracą nadziei”.

Drugi raz wracam do Ostroga już tylko wspomnieniem, ożywionym za sprawą pobytu tam mojej córki w Marii, która z mężem była z wycieczką w 2012 roku. Widzę ich na zdjęciu, przed zwróconym katolikom kościołem. Jest tam też proboszcz ks. Witold J. Kowalów! Muszę tu dodać, że to także postać niezwykła. Najpierw znalazłem wśród odnotowanych w bibliografii druków nadsyłanych do „Karty” czasopismo „Wołanie z Wołynia”, wydawane w Ostrogu, potem dowiedziałem się, kto jest jego redaktorem, wreszcie poznałem długą listę jego dokonań. Mam ciągle w pamięci obraz tego kościoła zamienionego po wojnie w salę gimnastyczną i wyniesione z miasta wrazenie, że nie ma w nim katolików. Teraz myślę, że jednak ślady przeszłości spotykane w zabytkach, choć mają zmienne, czasami tragiczne losy, nie mogą odebrać znaczenia ludziom, którzy przy nich trwają albo do nich wracają, nawet z daleka. Mam przede wszystkim ich na uwadze, mimo, że jestem tylko historykiem sztuki.

**Bogusław Mansfeld**



## Między sąsiadami - Між сусідами

## POLSKA WOBEC UKRAINY

Ostatnie wydarzenia u naszego wschodniego sąsiada wymierzone we władzę Janukowycza, a w wymiarze polityki międzynarodowej w Rosję, pokazały istotne różnice w ocenie naszej, polskiej strategii wobec Ukrainy. Zarysowało się kilka, wręcz sprzecznych ze sobą, stanowisk. Warto je omówić, aby zobaczyć, iż „sprawa ukraińska” pokazuje, niczym papierek lakmusowy, zasadnicze podziały na polskiej scenie politycznej.

## POSTAWA I CZYLI „W NASZYM INTERESIE POPIERAMY UKRAINĘ”.

Najdobitniej prezentuje ją Jarosław Kaczyński i Prawo i Sprawiedliwość. Były (a zapewne też przyszły) premier uważa, że w interesie Polski jest poprzeć ukraińską opozycję i drogę Kijowa do politycznej Europy. Oznacza to bowiem wyraźne osłabienie wpływów rosyjskich w regionie. Odcięcie Ukrainy od Rosji to wyrwanie szponów rosyjskiemu dwugłowemu orłu i istotne zredukowanie roli Moskwy, nie tylko w regionie. W związku z tym należy polską politykę zagraniczną ustawić na pomoc w europejskich aspiracjach Kijowa. Przy czym – warto podkreślić – nie oznacza to złożenia na ołtarzu polsko-ukraińskiej współpracy braku oddania hołdu Polakom pomordowanym przez Ukraińców na Wołyniu podczas drugiej wojny światowej. Silnie popierając polityczną „europeizację” Ukrainy, jednocześnie kontynuujemy naszą „politykę historyczną” i nie zakładamy sobie knebla w sprawie ukraińskiego ludobójstwa na Kresach Wschodnich RP.

POSTAWA II  
CZYLI „PUSTE TACZKI”.

Jej reprezentantem jest prezydent Komorowski. W czasie swojej prezydentury odbył 27 spotkań ze swoim ukraińskim odpowiednikiem. Ta imponująca średnia: 9 spotkań rocznie nijak się jednak ma do efektu. Lokator, nomen omen, Pałacu Namiestnikowskiego lata z pustymi taczkami przez polsko-ukraińską granicę, wypija z Janukowyczem kolejne litry horyłki czyli tamtejszej wódki, z Wiktorem Fedorowyczem wita się „na misia”, ale kompletnie dla polskiej racji stanu nic z tego nie wynika. Janukowycz wręcz wykorzystuje prezydenta III RP jako przyzwóitkę; im bardziej przykręca śrubę opozycji, tym chętniej fotografuje się z Komorowskim. W odwołanym ostatecznie szczycie prezydentów Europy Środkowo-Wschodniej na

Krymie latem 2012 roku Bronisław Komorowski był pierwszym, który potwierdził swoją obecność, mimo, że ze względu na „sprawę Tymoszenki” odmawiali wszyscy. Gdyby Komorowski nie istniał, Janukowycz musiałby go wymyśleć. Ni jak się to jednak ma do polskich interesów.

### POSTAWA III CZYLI „NIC-NIEROBIENIE”.

Klasykiem tego gatunku jest Donald Tusk. Od 2,5 roku nie był w Kijowie, nie zna się na tym, nie interesuje się problematyką wschodnią, nie czuje „bluesa” jak choćby Aleksander Kwaśniewski, który będąc prezydentem RP do kwestii Ukrainy w polityce polskiej „dorósł”, choć wcześniej, tak jak Tusk, nie miał o niej bladego pojęcia. Charakterystyczne, że Tusk ze swoją pierwszą wizytą na Wschodzie zjawiał się nie, jak jego nawet „lewicowcy” poprzednicy, w Kijowie czy Wilnie, ale w Moskwie. Takie symboliczne gesty mówią wiele. To oznacza, że premier III RP, skądinąd wzorem szeregu polityków niemieckich z obu głównych partii RFN, na Kijów patrzy przez pryzmat Moskwy. Co oczywiście jest w interesie tejeż Moskwy, a nie Warszawy.

### POSTAWA IV „BYLE POLSKA WIEŚ SPOKOJNA”.

Reprezentowana często przez porządnych patriotów, ludzi kochających Boga i Ojczyznę, ale uważających, że polska żaba nie powinna nastawiać nogi kowalowi i że powinniśmy skupić się na zrobieniu porządków z naszymi Janukowyczami. Skądinąd taką właśnie formułę „*Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna*” promują także nasi narodowcy. Zapewne zresztą w najlepszych intencjach, ale zupełnie chyba nie pamiętając znanej dewizy Romana Dmowskiego, ojca Obozu Narodowego w Polsce, który przecież powtarzał, że naród powinien stawiać przed sobą wielkie cele w polityce zewnętrznej, szukać obszarów ekspansji, inaczej jego wpływy będą się kurczyć. Słowem: jeśli zajmiemy się tylko własną miedzą i nie będziemy ofensywni, to inni, nie zważając, że nie chcemy wchodzić im w paradę i tak i tak zajmą się nami... Opisałem myśl Dmowskiego na własny sposób, ale uważam, że należy zadedykować ją wszystkim ludziom, którzy dziś ze szlachetnych intencji i patriotycznych побudek uważają, że nie powinniśmy wtrącać się w wewnętrzne sprawy Ukrainy, bo wyjdziemy na tym, jak Imć Pan Zabłocki na mydle. Przeciwnie: im bardziej będziemy przesuwać polityczne theatrum poza Polskę, tym lepiej dla nas.

### POSTAWA V CZYLI „NIE DRAŻNIĆ NIEDŹWIEDZIA”.

Krytycy historycznej polskiej dewizy „*Za Waszą wolność i naszą*” mają czasem sporo racji, jeśli odruchy umierania przez Polaków za inne nacje na ołtarzu europejskiej solidarności nie były wkomponowane w nasz interes narodowy i rację stanu państwa polskiego (nawet jeśli nie istniało). Tym razem jednak owo hasło w



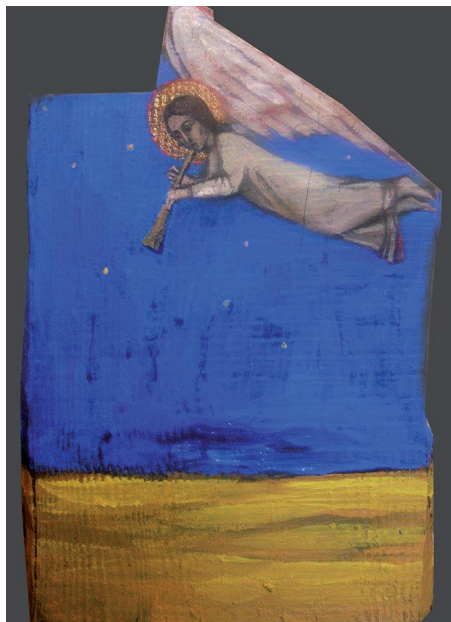


kontekście Ukrainy jest jak znalazł, bo im mniej będzie Rosji w naszym sąsiedztwie, tym dla polskich aspiracji lepiej. Oczywiście nie oznacza to automatycznego rozwiązania problemów polsko-ukraińskich. Uwaga: nie tylko tych historycznych, ale też bieżących. Pamiętamy przecież, że popierana przez nas w czasie Pomarańczowej Rewolucji Julia Tymoszenko, będąc premierem wzięła kurs na Berlin i konsekwentnie omijała Warszawę.

#### POSTAWA VI CZYLI „NAJPIERW WOŁYŃ”.

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski i ludzie podobnie myślący jak on, przecież wielcy, bezinteresowni patrioci mówią mniej więcej tak: skoro przeciwko Janukowyczowi, a zatem Rosji, a za Europą jest nacjonalistyczna partia Swoboda (a także dodajmy, jeszcze bardziej nacjonalistyczna, ale prawdopodobnie manipulowana przez Moskwę UNA-UNSO), to my nie powinniśmy być w tym samym obozie, jak ci, którzy nie chcą potępić ludobójstwa naszych przodków na polskich Kresach. Rzecz w tym, że choć liderzy Swobody mają na swoim koncie i antypolskie i antysemickie wypowiedzi i może nawet dalej nas nie znoszą, choć już teraz pilnują się, aby tego nie okazywać, to nie sądzą, aby prorosyjską Ukrainę stać było na uderzenie się w piersi w sprawie Wołynia. Zawsze będzie on dla Rosjan i ich ludzi w Kijowie szansą na zantagonizowanie Polski z naszym sąsiadem.

Tak naprawdę stosunek do tego, co dzieje się w Kijowie jest dzisiaj wyznacznikiem fundamentalnych podziałów na polskiej scenie politycznej. Wyraźnie widać, że jest obóz aktywizmu, jest obóz pasywizmu, ale też obóz „a dajcie mi święty spokój”. Gdy Polska 95 lat temu odzyskiwała niepodległość, można było i trzeba było grać na wielu fortepianach. Nie było żadną polityczną kakofonią, gdy



Piłsudski, Dmowski, Paderewski czy Korfanty grali różne melodie, które – mimo napięć między nimi – łączyły się w polską niepodległościową orkiestrę symfoniczną. Tym razem jednak tak nie jest.

Nic nierobiący Tusk, obrażający Ukrainę Sikorski, spotykający się co rusz z Janukwyczem, tyle, że bez żadnego efektu Komorowski czy zwolennicy żądania, aby Ukraińcy najpierw przeprosili za Wołyń, a potem może ich poprzemy (mimo patriotycznych pobudek tych ostatnich) – nie grają w drużynie obrony polskiej racji stanu. Rzadko się zdarza, aby w polskiej polityce zagranicznej był taki biało-czarny film, jak ten w sprawie Ukrainy.

**Ryszard Czarnecki**

8 stycznia 2014 r.

Powyższy tekst ukazał się w miesięczniku „Nowe Państwo” nr 12 (94) ze stycznia 2014 r., s. 26-27.

**Нapisali do нас** - Написали до нас

## OŚWIADCZENIE

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Księżę Proboszczu, dziękuję za wydrukowanie na łamach „Wołania z Wołynia” nr 4(113) mojego listu z utworem o dziejach rodu Dobrzańskich na Wołyniu (jestem nadawcą nazywam się Stanisław Fałek).

Nieuważny czytelnik po przeczytaniu tego wiersza mógłby sądzić że jego autorem jestem ja, podpisany pod tym utworem.

Otóż oświadczam że autorem jego jest mój wujek Władysław Dobrzański (co jest wyraźnie zaznaczone w tytule utworu). Ja jestem tylko nadawcą. Bardzo proszę umieścić to sprostowanie w najbliższym numerze pisma. Przepraszam za ewentualne nieporozumienia.

*Stanisław Fałek*

24 października 2013 r.



## SPROSTOWANIE

Wielce Szanowny ksiądz Witold Józef Kowalów Proboszcz Kościoła p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu

Serdecznie dziękuję Księdzu Proboszczowi i całemu Zespołowi redagującemu przewspaniałe pismo religijno – społeczne pt. „Wołanie z Wołynia”.

Jestem dumna, że pismo to redagowane i wydawane jest w Ostrogu ponieważ to właśnie w Ostrogu urodziłam się 06 października 1937 r. W tym przepięknym mieście mieszkałam po ucieczce przed złymi ludźmi w 1943 r. z Huciska k/Nowomalina, pow. Zdołbunów. W Ostrogu mieszkałam do 1945 r., a więc do czasu repatriacji do Polski.

Pismo „Wołanie z Wołynia” otrzymuję systematycznie, dzięki czemu mam zapewnioną więź z moimi stronami rodzinnymi. Bardzo wiele artykułów przywołuje moje wspomnienia z lat bardzo szczęśliwego dzieciństwa w Hucisku i z lat tragicznych przeżyć.

Podczas pobytu w Ostrogu od 1943 r., jedyną radość sprawiało mi wówczas chodzenie z Mamą do Kościoła, w którym byłam chrzczona. Szczególnie mocno cieszyłam się, kiedy mogłam sypać kwiaty podczas procesji i pomodlić się w tym Kościele o szczęśliwy powrót mojego Taty z frontu II wojny światowej.

Treść każdego artykułu zawartego z „Wołaniu z Wołynia” przeżywam bardzo mocno w sensie pozytywnym. Zdarzyło mi się jednak doznać negatywnych przeżyć po przeczytaniu „Wołania z Wołynia” nr 4 (113) – B Rok 18, Lipiec – Sierpień 2013, w którym opublikowany został plagiat wiersza dokonany przez Stanisława Fałkę.

Uprzejmie proszę o opublikowanie mojego sprostowania na temat tego przykrego faktu. Treści, które przedstawię będą mogły być ostrzeżeniem przed podobnie złym czynem, którego chcieliby dopuścić się inni, nie znający przepisów prawa, a mających przestępcze zapędy.

Oto moje sprostowanie na temat wiersza autorstwa mojego Stryjka – Władysława Dobrzańskiego, zmarłego 27 maja

2011 r., a którą to sytuację wykorzystał Stanisław Fałek, przywłaszczając sobie Jego wiersz. Moim obowiązkiem jest bronić sytuację Władysława Dobrzańskiego, bo On już sam nie może się bronić. Wyjaśnienia dokonam na podstawie tylko fragmentów moich dwóch listów z przeprowadzonej korespondencji ze Stanisławem Fałkiem w dniach 21 i 22 października 2013 r. i listu Stanisława Fałka.

Oto fragmenty moich listów:

„Jak mogłeś wyrządzić mi taką krzywdę, jaką wyrządziłeś? Jak mogłeś wykorzystać zdolności i pracę mojego Stryjka – Władysława Dobrzańskiego?” „Żaden pisarz ani poeta, m.in. M. Konopnicka, czy Jan Paweł II, ani tysiące innych, nie wyraziliby zgody na ingerowanie osób innych w ich twórczość”.

„Doskonale pamiętasz, że w roku 2008 wydałam książkę pt. «Wspomnienia» część II. Książkę tę poświęciłam życiu, działalności zawodowej i politycznej oraz twórczości literackiej mojego Stryjka – Władysława Dobrzańskiego oraz Jego Rodzinie. Umieściłam w tej książce kilkanaście wierszy autorstwa Stryjka, do czego On mnie upoważnił. Ponieważ wydałam tylko kilka egzemplarzy książki, dlatego dla Ciebie przestałam tylko kserokopię wiersza autorstwa Władysława Dobrzańskiego, a tytuł tego wiersza to: «Posiadłość Dobrzańskich na Wołyniu oraz los ich nieszczęśliwy doznany od wrogów». Wiersz zawierał 109 zwrotek”.

„Nie przypuszczałam, że wykorzystasz go dla własnych celów”.

„A przecież podczas mojego wywiadu ze Strykiem w Krakowie, byłam uprzedzona przez Stryjka, że do czegoś takiego może dojść. Podczas przekazywania mi rękopisów swoich wierszy, Stryjek powiedział: Przypominam Tobie, że rękopisy moich wierszy są Twoją własnością. Masz prawo opublikować je pod moim autorstwem, tak jak mówiłaś”.

„Od chwili wydania mojej książki pt. «Wspomnienia» cz. II., tj. od 2008 roku rozmawialiśmy wielokrotnie, ale nie czytałeś przyznać się, że zamierzasz opublikować ten wiersz w «Wołaniu z Wołynia» pod zmienioną postacią”.

„Miałeś odwagę napisać w «Wołaniu z Wołynia»: «Z tęsknoty za ziemią matki opisałem na podstawie opowiadań i zapisków wujka dzieje rodziny Dobrzańskich»”.

„Przed obliczem Boga twierdzisz, że sam opisałeś dzieje rodziny Dobrzańskich, a korzystałeś przy tym „tylko z opowiadań i zapisków wujka?”

„Przecież wiesz, że ten cały wiersz pochodzi z mojej książki, o czym podałam wcześniej”.

„A co Ty zrobiłeś z wierszem Władysława Dobrzańskiego? Zniekształciłeś każdą zwrotkę. Rozporządziłeś każdą zwrotką jak swoją. Wiersz dedykowany był przodkom autora, mojemu Tacie, który był sierołą, mnie i moim dzieciom, a nie Twojej Mamie. W każdą zwrotkę wprowadziłeś po kilka swoich wyrazów. Niektóre wyrazy autora poprzestawiałeś lub zlikwidowałeś, a wpisałeś swoje. Z samego tytułu zrobiłeś potworka. Jakim prawem zniekształciłeś tytuł napisany przez Władysława Dobrzańskiego? W dziwnie długi tytuł wpisałeś «...opisanych przez wujka Władysława». Tak, wujek opisuje, ale swoimi słowami i podpisuje autorstwo na końcu. Natomiast Ty w tytule używałeś „wujek opisuje”, ale piszesz wiersz swoimi słowami, a na końcu podpisujesz Stanisław Fałek i dodatkowo Amen. Zastosowanie słowa „wujek” w tytule Twojego wiersza, nie znaczy, że on jest autorem, bo autorem jest w tym przypadku Stanisław Fałek”.

„Po wstrząsie, którego doznałam dzięki Tobie, udałam się do prawnika, który jest znawcą rzeczy w sprawie, której jesteś autorem. Przedłożyłam jemu:

I/ „Wołanie z Wołynia” nr 4 (113) – B Rok 18, lipiec – sierpień 2013 w którym zawarłeś wspomniany wiersz.

2/ Rękopis wiersza autorstwa Władysława Dobrzańskiego.

3/ Książkę mego autorstwa pt. „Wspomnienia” cz.II – z roku 2008 z wymienionym wierszem.

4/ Kserokopię tego wiersza, który został przesłany Tobie przez Internet.

Najpierw prawnik zapoznał mnie z Art. 115 Ust. „O prawie autorskim i prawie pokrewnym”.

„Kto przywłaszcza sobie autorstwo albo wprowadza w błąd co do autorstwa całości lub części cudzego utworu albo artystycznego wykonania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 3”.

Dalej dowiedziałam się, że „plagiat” może być „jawny” lub „ukryty”.

„Plagiat jawny” – polega na przejęciu (skopiowaniu) całości bądź fragmentu cudzego utworu i podpisaniu go swoim nazwiskiem.

„Plagiat ukryty – polega na skopiowaniu fragmentu dzieła innego autora i wplecenie go do własnego tekstu. Z tym rodzajem plagiatu mamy do czynienia nie tylko przy dosłownym przejęciu fragmentu wiersza, ale również w sytuacji przejęcia głównej myśli innego autora i zapisanie jej za pomocą własnych słów”.

„Po fachowych porównaniach materiałów, które wyżej wymieniałam dowiedziałam się, że dokonałeś dwustu – procentowego plagiatu. Plagiat to przestępstwo tak samo, jak inne, którego nie można darować. Przestępców wszelkiej maści należy niszczyć w zarodku – sądownie lub w inny sposób”.

„W związku z zaistniałą sytuacją z Twojego powodu, żądam od Ciebie opublikowania w następnym numerze «Wołania z Wołynia» sprostowania, w którym:

– wyjawisz prawdę odnośnie autorstwa wiersza,

– oświadczysz, że dokonałeś plagiatu,

– w jaki sposób dokonałeś plagiatu,

– dlaczego dokonałeś tego przestępstwa,

– przeprosisz Księdza i wszystkich ludzi czytających «Wołanie z Wołynia» za to, że ich okłamałeś”.

„Czy pomyślałeś, co powiesz, gdy staniesz przed obliczem Boga, Matki i mego Taty oraz Stryjka? Jak Oni zareagują? Ja wiem. Otóż Stryjek – Władysław Dobrzański powie «Źle zrobiliście». Twoja Mama się rozplacze. Mój Tata zastanowi się: «Czy dobrze zrobiłem, kiedy wyraziłem zgodę, by ten przestępca mieszkał u nas w Lublinie, gdy chodził do szkoły średniej po wojnie i żywiłem go za darmo, podczas kiedy sam niewiele miałem dla swojej Rodziny». Bóg natomiast ciebie pokarze, bo wiem, że za dobro wynagradza, a za zło karze”.

Oto końcowy fragment listu Stanisława Fałka na moje uwagi:

„Prawda że przepisałem go, dokonałem zmian i zmieniałem zakończenie (aby moja mama znalazła w nim też swoje miejsce i rolę). Wysyłając ten wiersz nigdy bym się nie spodziewał że spowoduje to taki wybuch pretensji do mnie. Przyznaję że powinienem przed wysłaniem powiadomić Ciebie. Żałuję że tego nie zrobiłem, bo oszczędziłbym nam wszystkim tyle niepotrzebnego bólu. I za to przepraszam. Oczywiście że wyślę list do ks. Kowalowa ze sprostowaniem, że nie sobie przypisuję autorstwo, skoro autor jest umieszczony w nagłówku, i by nie kojarzyć mego podpisu z autorstwem tego wiersza.

Bardzo pragnę być potraktowała tę sprawę ze zrozumieniem i wzięła pod uwagę wszystkie okoliczności jakie mną kierowały.

Pozdrawiam Stanisław”.

Mój prawnik stwierdził: „Stanisław Fałek nie bardzo rozumie co zrobił”.

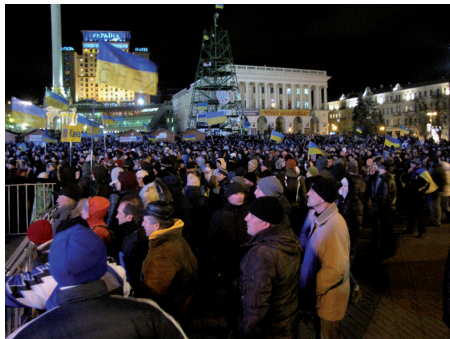
Łączę wyrazy szacunku

**Celestyna Janczak**  
z d. Dobrzańska

Między sąsiadami - Між сусідами

## STOJĘ ZA NORMALNOŚĆ

Pojawiłem się na Majdanie, nie żeby specjalnie, w czasie, kiedy jeszcze było spokojnie i kiedy Polaków na nim prawie nie było – w ostatni czwartek i piątek listopada 2013 r. Było w miarę ciepło, atmosfera jeszcze pełna nadziei, bo prezydent w Wilnie „może jeszcze podpisać”. Nie podpisał, za to posłał służby siłowe na ludzi. Sobotnim rankiem, ostatniego dnia listopada, kiedy trzeci już rok z rzędu zbieraliśmy się w zacisznej Puszczy Wodycy na III już Ukraińsko-Polską Szkołę Ochrony Przyrody koleżanka przyniosła trwożliwą informację „W nocy milicja pobila ludzi i rozpendziła Majdan”. „Wsio, znaczy koniec” pomyślał sobie pewnie niejeden. Ale tak się nie stało. Protestujący, niczym powstańcza partia w 1863 roku, rozpendzeni raz, zbierali się i atakowali drugi raz z jeszcze większą siłą. Tak było i na Majdanie. W pierwszy grudniowy poniedziałek na Chreszczatyku stały już barykady. Pojechałem tam z polską flagą. Strach był, bo już chodziły słuchy o strojnych w dresy „tituszkach”, które w metrze i na ulicach zaczepiają ludzi. Ale jadę. Na Majdanie morze głów, powiewają flagi: błękitno-żółte, białoruskie (opozycyjne), gruzińskie, angielskie, litewskie, czerwono-czarne też, i ...jedna polska. Moja była druga. Idę w kierunku tej drugiej. Okazuje się, miejscowi, kijowscy Polacy. „O dobrze, że jesteś – mówi Pani Wiktorria – bo my tu już jak polska ambasada, wszyscy do nas z pytaniami, podziękowaniami, sił już braknie”. Istotnie, atmosfera była taka, że aż trudno opisać. Każdy pochodził, zaczepiał, pytał, próbował coś mówić po polsku, wspominał polską rodzinę albo miejsca gdzie w Polsce był, częstował czym miał, jedzeniem, piciem



Majdan (Plac) Niepodległości  
w Kijowie

Fot. Krzysztof Wojciechowski

i przede wszystkim dziękował, dziękował, dziękował ... „Na Polaków zawsze można liczyć” – usłyszałem. Kiedy wspominał to wszystko po ponad 2 miesiącach, po tej całej kampanii medialnej uprawianej przez niektóre środowiska w moim kraju, a która pokazuje Majdan jako banderowski, szowinistyczny, czy wręcz antypolski, to zastanawiam się, czy aby ja byłem na tym samym Majdanie, co ci, którzy tę kampanię rozpętały? Podejrzewam, a w przypadku niektórych osób nawet pewien jestem, że tam po prostu nie byli. A dziwny obyczaj jest w mojej ojczyźnie, że im mniej wiedzą, tym więcej mówią, piszą i za większych ekspertów chcą uchodzić.

\* \* \*

Ale właściwie dlaczego i po co ja tu jestem? Pierwsze takie pytanie zadała mi dziennikarka z wydawanej w Polsce gazety, za którą to gazetą nie przepadam. „Dlaczego tu jesteś? Odpowiedz. Tylko bez polityki” (niczym rozmowa Skrzetuskiego



### Polska flaga na Majdanie

Fot. Krzysztof Wojciechowski

z Chmielnickim). Zaskoczenie, uśmiech politowania, i myśl: „*Dziewczyno o czym ty mówisz, bez jakiej polityki, skoro władza pobila naród a on chce jej dymisji*”. Ale za chwilę refleksja: „*Zaraz, hm, w sumie tak, władza jest ukraińska, szkodzi Ukraińcom, zatem to Ukraińców zadanie by ją zmienić, a ja?*”. „*A ja tu stoję za normalność*” – jakoś samo się wysunęło z ust. No tak! Za normalnością, o normalność. Żeby moi przyjaciele, intelektualiści i naukowcy nie musieli być traktowani na granicy jak przestępcy. Żeby nie musieli wystawać w kolejkach za wizami, gdzie traktuje się ich również jak potencjalnych przemytników czy tych, którzy tylko „aby do Unii?”. Żeby mógł swobodnie i bez płacenia horrendalnych opłat rozmawiać telefonicznie z moją rodziną, która mieszka bliżej od mojego domu, niż ja mam do Warszawy, tyle że niestety za Bugiem. Żeby ta rozmowa nie była droższa niż połączenie z Londynem. Żeby mógł pojechać swobodnie na Wołyń, najlepiej na rowerze, odwiedzić miejsca gdzie żyli i mieszkali pradziadkowie i nie musiał wystawać w kilometrowych kolejkach. Skoro mogę tak jechać na Słowację czy do Czech, to czemu nie na oddalony o 60 km Wołyń. To jest normalność. To są rzeczy, nad którymi ludzie z zachodniej Europy

nawet się zastanawiają. Dlaczego nie mam ich mieć ja, ani Ukraińcy? W czym są gorsi? Albo w czym lepsi od Ukraińców są Bułgarzy czy Rumuni czy inne narody ze strefy postsowieckiej by być w UE? Co mają lepszego poza bardziej fortunnym położeniem? Czy Ukraińcy nie dość się wycierpieli przez wieki, nie wystarczającą daninę krwi złożyli, żeby nadal żyć w „mafijnym chanacie”? Stoję za normalność.

\* \* \*

Major Wacław Kopisto, urodzony na Wołyniu, późniejszy cichociemny, który też przebywał tam w krwawe noce wołyńskie, zaś po wojnie, za wierną służbę ojczyźnie pojechał na wieloletnią, darmo-wą ekskursję aż na Magadan, w swoich wspomnieniach przytacza takie oto wydarzenie z łagru w Kotlasie. Wezwał go tam na rozmowę jeden z enkawudzistów:

„– *Nu znaczył się ty Polak. Ostatnio przed zatrzymaniem przebywałeś na Wołyniu. Tam dużo było ukraińskich banderowców. My wiemy, jak oni okrutnie nad wami Polakami znęcali się. Przy tym moc pomordowali. Teraz nadszedł czas, że możesz za te wszystkie krzywdy pomścić się. Przecież tutaj w obozie jest dużo ukraińskich banderowców. Ty posłuchaj co oni mówią, czym dyszą, i donoś nam, a my się z nimi rozprawimy. Zrozumiałeś?*

– *Zrozumiałem – odpowiedziałem, ale tego nie zrobię.*

– *Nie rozumiem dlaczego, powinieneś być przecież polskim patriotą – przekonywał major.*

*Na to odpowiedziałem:*

– *Po pierwsze dlatego, że przedtem oni byli moimi wrogami, a teraz są tylko współuczestnikami niedoli, a pod drugie, że nie nadaję się na donosiela.*

*Nie zrażając się tym major odrzekł:*

– *Nie przypuszczałem, że ty jesteś swego rodzaju dziwakiem. Uważałem Ciebie*

za polskiego patriotę. I dlatego chciałbym dać tobie możliwość rewanzu na Ukrainkach za wszystkie krzywdy, jakie oni wyrządzili Polakom, a ty z tego rezygnujesz”.

Znaczna część naszych mediów, znanych osób, w tym bardzo patriotycznie nastrojonych i uważanych za autorytety moralne, mimo, że na Wołyniu wtedy nie była, że nie doświadczyła tych okropności, z tej propozycji majora-enkawudzi sty skorzystała. Oczywiście nie wiedząc o tym, ale starając się spełnić rolę, jaką dla majora Kopisto przewidział sowiecki „bezpieczniak”. Majdan, z powodu powiewających nad nim czerwono-czarnym flag i okrzyków „*Śława Ukrajini! Herojam Śława!*” stał się dla nich synonimem odradzającego się banderyzmu, którego przejawy w mówczą skrupulatnością tropili. Do tego stopnia, że niektórych z nich nie stać było na jakikolwiek gest współczucia dla bitych, zabijanych i poniżanych ludzi, bo cały czas poświęcali na „liczenie flag” i wyszukiwanie głosów, które potwierdzałyby ich hipotezę, że to na pewno sprawa kabanerowców.

\* \* \*

Kijowski Majdan, ostatnie dni grudnia 2013 r., czwartek przed pierwszą pacyfikacją. Stoję w tłumie młodych ludzi. Obok mnie dziewczęta, które major Lepecki, adiutant Piłsudskiego, na pewno nazwałby „*aniotkami*”:

– Sino-żółta to nasza, a ta czarno-czerwona? – pyta pierwsza.

– Nie wiem, pewnie komunistów – pada odpowiedź.

Tak, powiewały na Majdanie i nadal powiewają nacjonalistyczne czerwono-czarne flagi. Nikt temu nie zaprzecza, choć na pewno nie było i nie ma ich tyle, ile życzyliby sobie redaktorzy największego kresowego portalu czy im podobni. Tyle, że wyciąganie na tej podstawie

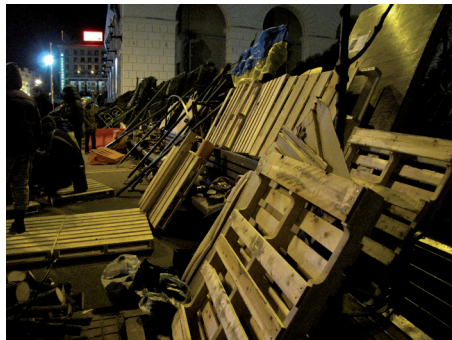


### Duchowni na Majdanie

Fot. Krzysztof Wojciechowski

wniosków, że Majdan jest antypolski, szowinistyczny itd. jest błędem. Tak nie jest, i wie to każdy kto na Majdanie był. Miażdżąca większość Ukraińców stoi tam nie za Banderę i „czystą jak szklanka wody” tylko, tak jak ja – o normalność. I myślę, że nie ma dla nich większego znaczenia co nad nimi powiewa.

„*Gdy człowiek czy naród czuje się na jakimkolwiek odcinku wiązany i skrupowany, gdy czuje, że nie ma już wolności opinii i zdania, wolności kultury i pracy, ale wszystko wzięte jest w jakieś łańcuchy i klamry, wszystko skrupowane jak stalowymi gorsetami, wtedy nie potrzeba kompleksów. Wystarczy być tylko przyzwoitym człowiekiem, mieć poczucie honoru i osobistej godności, aby się przeciw takiej niewoli burzyć, szukając środków i sposobów wydobycia się z niej*” – pisał przed pół wiekiem Stefan Kardynał Wyszyński w obronie Powstania Styczniowego. Słowa te pasują jak ulał i do Majdanu. Ludzie szukają drogi do lepszego, cywilizowanego i wolnego bytu, który jest udziałem większości mieszkańców Europy. Pewnie, że dla wielu, dla mnie nie ukrywam też, lepiej byłoby, żeby nad Majdanem powiewały tylko sino-żółte flagi, ale to wszak nie o barwę chodzi a o to, o co się walczy?



### Barykady w Kijowie

Fot. Krzysztof Wojciechowski

Ja z tymi dążeniami Ukraińców się solidaryzuję.

\* \* \*

Wiele można by pisać o tej postawie moich rodaków, zatroskanych o to by „banderyzm” się nie odrodził. Liczne i różnorodne były jej przejawy, od subtelnej manipulacji po toporną i nachalną propagandę w myśl zasady „na złość babci odmrozę sobie uszy”. Na złość „banderowcom” nawet ten, który każe strzelać do swojego narodu będzie nazwany przedstawicielem legalnie wybranej władzy itd. Pojawiły się oczywiście głosy aby wraz z Putinem dokonać rozbioru Ukrainy, i najlepiej nie czekać za długo bo Rumuni i Węgrzy już się upominają o swoje i niemal czekają nad granicą. Słowem: „Wodzu prowadź na Lwów”. Smutno to było czytać. Przypominał się rok 1938. Wtedy to Czesi mieli przystawiony hitlerowską lufę do czoła, a my też „odebraliśmy co swoje” i z bratankami też dobiliśmy się wspólnej granicy na trupie Ukrainy Zakarpackiej. I długo się cieszyliśmy tymi zdobyczami?

Wołę jednak rozpamiętywać nie to co stale nachalnie płynie z niektórych portali internetowych i blogów, wołę pamiętać rodaków solidarnych. Wołę pamiętać, że

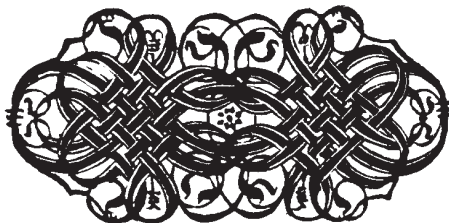
w wielu miastach zbierano dary dla bitych przez swoje władze ludzi na Ukrainie, że zbierano leki, ubrania, pieniądze i starano się, żeby mimo przeszkód stawianych na granicy, dotarły one do potrzebujących. Wołę pamiętać słowa licznych przyjaciół i znajomych, a nawet nie znanych ludzi, którzy pisali/mówili: „Powiedz/niech Pan powie Ukraińcom, że jesteśmy z nimi, że łączymy się z nimi, pamiętamy, bo u nas też kiedyś było podobnie, też władza strzelała do ludzi”. Chcę pamiętać duchownych, którzy modlili się za Ukrainę i Ukraińców. Wołę pamiętać, że leczyliśmy tym umęczonych ludzi. Bo tego nigdy się wstydzić nie będziemy, bo to jest postawa na wskroś chrześcijańska a nie postawa hieny, która czeka tylko kiedy ofiara skończy ją szarpać.

\* \* \*

Pociąg relacji Warszawa-Kijów, na której z wołyńskich stacji (trudno orzec, na której, bo Wołyn przemiesza dosłownie w środku nocy), młody człowiek wchodzi do przedziału: „Sława Ukraini!”, „Na wiki sława, synok” odpowiada straszny mężczyzna nieco zaspanym głosem.

Dokładnie tak: „Na wieki chwala Ukrainie”, spokojnej, zasobnej, Ukrainie dobrych ludzi, pewnych swego jutra. Bo jeśli to będzie to z wszystkimi innymi nawet najtrudniejszymi problemami z przeszłości damy sobie radę.

Krzysztof Wojciechowski





Wśród książek - Серед книжок

## ODNOWIENIE MOGIŁY NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA W RÓWNEM



Aktywni mieszkańcy Równego na czele z przewodniczącym Towarzystwa Kultury Polskiej im. Władysława Reymonta Władysławem Bagińskim już kilka lat porządkują stare groby żołnierzy polskich na cmentarzu przy ul. Dubieńskiej. Pewnego razu zwrócił ich uwagę nasyp ziemi, który wznosił się w postaci niewielkiego pagórka. Rozpoczęto jego rozkopywanie. Wszyscy byli zdziwieni znaleziskiem, jakie otworzyło się przed ich oczyma. Była to częściowo zniszczona, ale czytelna płyta z minionego wieku z następującym napisem: „*Harcerstwo Rówieńskie Nieznanemu Żołnierzowi, który poległ w obronie Kresów 1918-1925*”.

Od razu powstała myśl, aby odnowić i uporządkować tę mogiłę. Zwróciliśmy się do dyrektora rówieńskiego cmentarnego specjalnego kombinatu p. M. Wołod'ka i otrzymaliśmy pozwolenie na jej uporządkowanie. Robota zaczęła kipieć. Nieobojętni parafianie kościoła pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła na czele z ks. Władysławem Czajką jeden z jesiennych dni własnym sumptem odnowili tę mogiłę, z nadzieją, że w przyszłości powstanie

### Grób Nieznanego Żołnierza w Równem

*Fot. Jarosław Kowalczyk*

tutaj coś bardziej znaczącego i monumentalnego. Byli to: Nina Herasymczuk, Czesław Chytry, Grzegorz Prymas, Walery Zarićkyj i Jarosław Kowalczyk. Później odbyło się poświęcenie grobu, podczas którego byli obecni parafianie kościoła pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła w Równem. Stała warta honorowa miejscowych młodych harcerzy i możemy się tylko domyślać, co odbywało się w ich młodych duszach, kiedy oni oddawali cześć pamięci swoim poprzednikom. Uroczystość ta dodaje otuchy i sił dla dalszych czynności badawczych na starym cmentarzu rówieńskim, aby pamięć o tych ludziach, którzy mieszkali tutaj ponad 100 lat temu nigdy nie została starta z ludzkiej historii, dziejów swojego narodu.

*Jarosław Kowalczyk*

*Z ukraińskiego przełożyła  
Lucja Zalewska*



Wśród książek - Серед книжок

## Z DUBNA W STEPY

z niehumanitarnej ziemi



Henryk Kanikuła

Kurhan Polki

Nakładem lubelskiego wydawnictwa Norbertinum, w bardzo cennej serii „Z niehumanitarnej ziemi”, ukazały się drukiem wspomnienia wołyniaka mieszkającego obecnie w sercu pięknych Działów Grabowieckich – Henryka Kanikuły. Urodził się w 1925 roku w Dubnie i w tym, jak pisze, „małym powiatowym miasteczku liczącym około dwadzieścia tysięcy mieszkańców” spędził całe swoje dzieciństwo. Nietrudno zgadnąć, że wspomina ten swój „kraj lat dziecińczych” z rozrzewnieniem i niemal z tklivością. Wspomina zamek, który był bardzo dobrze zachowany, otoczony fosą i posiadał zwodzony most. Był też zamek miejscem gdzie podobno ukazywały się duchy i gdzie ... chodziło się na wagary. Wspomina rozlewiska Ikwy pełne dzikiego ptactwa, zaś

zimą rozwrzeszczanej dzieciarni jeżdżącej po lodzie na „podkówkach”. „Jak dziś pamiętam kościół farny z napisem nad głównym portalem ‘Gloria Tibi Domine’, a w ołtarzu głównym odsłaniany obraz Matki Boskiej z pozłacanym obramowaniem... W tym kościele stawiałem pierwsze kroki jako ministrant”. W pamięci Autora pozostał także ksiądz Hibsich, rzec można klasyczny przedstawiciel kresowego ekumenizmu, który wyrozumiałe i po chrześcijańsku podchodził do praktykowania wiary. Wiernym, którzy w czasie zimy mieli problemy z dotarciem do kościoła po zawianych drogach mawiał: „jeśli masz blisko do cerkwi idź, wysłuchaj Mszy świętej i pomódl się po swojemu, a będziesz miał zaliczone”. Wspomnienia swej wołyńskiej małej ojczyzny Autor podsumowuje tak: „Dubno było miastem bez specjalnych zaburzeń politycznych ani manifestacji, mimo, że bezrobocie było duże... Codzienne życie trzech podstawowych narodowości nie powodowało żadnych incydentów ani zatargów; dominowały spokój i tolerancja, stanowiąc wspólnotę złożoną, zamkniętą w sobie, coś w rodzaju terytorialnej enklawy, w której panował lokalny patriotyzm. Choć może wrażenie było jedynie pozorne, za to dobrze wyreżyserowane. To kraj mego dzieciństwa, takim go zapamiętałem i takim pokochałem...”

W miarę spokojne i beztrudne dzieciństwo przerwał wybuch wojny, ale tak naprawdę prawdziwe nieszczęścia zaczęły się wraz z wywózką. Cała rodzina Autora, którego ojciec był policjantem, jak tysiące innych polskich i nie tylko polskich rodzin z Kresów Wschodnich polegała wysiedleniu. Szczęściem w nieszczęściu

było to, że nie pojechali w pierwszej lutowej wywóźce w czasie trzaskających mrozów a dopiero „13 kwietnia 1940 roku o świcie na podwórko zajechała ciężarówka, a do domu weszło trzech krasnoarmiejców i jeden oficer NKWD”. Dalej nie warto pisać, każdy, kto choć trochę interesuje się Kresami wie doskonale jaka była „procedura”. Jechali kilka tygodni. Pociąg zatrzymał się w pustym kazachskim stepie a ciężarówkami wywieziono ich w jeszcze bardziej pusty step. Całe rodziny z tym co zdołały ze sobą zabrać dosłownie wyrzucono w szczerym polu skąd wokół nie było widać nic poza jeszcze większym polem. Zesłańcy nie załamali się jednak i wymusili na politruku by przewiózł ich do jakiejś wioski czy kolchozu. Po kilku dniach przyjęli ich ...Koreańcy. Kogóż tylko nie była w olbrzymim systemie GUŁAG-u w którym połączono nie tylko proletariatusy wszystkich krajów, ale i tych, którzy wcale łączyć się nie chcieli. I tak zaczęło się zesłanie, które dla Autora zakończyło się „u Berlinga”, a dla wielu jego wołyńskich rodaków jeszcze później. Samego zesłania wydaje się też specjalnie opisywać nie warto, bo znowuż scenariusz był podobny we wszystkich łagrach bez względu na to czy położone były w Kazachstanie, Magadanie, czy za kołem podbiegunowym, może tylko praca gdzieś była cięższa, mrozy silniejsze albo wszy większe.

To jednak co wyróżnia wspomnienia Henryka Kanikuły spośród obfitej łagierniczej literatury wspomnieniowej to pewien ...optymizm, brak beznadziei, wiara w to, że będzie lepiej, i też szczęście do dobrych ludzi. Zwłaszcza tych ostatnich spotykał na swej zesłańczej drodze zanim się ona jeszcze na dobre zaczęła. To postać Ukrainka Buhaja, i Żyda Winokura, którzy pomagają wyrwać jego ojca z łap NKWD jeszcze w Dubnie. Już w trakcie



**Kościół farny w Dubnie  
na przedwojennej fotografii**

*Fot. Archiwum*

długiej podróży nad polskimi zesłańcami czuwa przychylniej niż to było dozwolone młody Ukrainiec Wańka z Berdyczowa dbając by dostawali na czas wodę. Ludzkim człowiekiem okazał się nawet sowiecki politruk, który w odpowiedzi na lament polskich kobiet obiecał, że zesłańcy zostaną zakwaterowani w kolchozie i danego słowa dotrzymał. Koreański przedsiębiorca kolchozu również odnosił się do Polaków z szacunkiem, kiedy przekonał się, że nie są oni krwiopijcami i wyzyskiwaczami ludu pracującego ale takimi samymi nieszczęśnikami jak jego rodacy, których zagarnęła sowiecka orda. Przyjazne stosunki łączyły Autora z miejscowymi Kazachami, z którymi nie tylko handlował, ale którzy też uczyli go jak żyć w stepie. Nawet prosił kolchoźnicy i traktorzyści „uczylili” Autora jak pracować, by wyrobić normę z nawiązką i nie paść z wycieńczenia.

O tym jak osobliwe Pan Bóg prowadzi ludzkie ścieżki świadczy ciekawy fakt z życia łagrowego kolchozu, który miał miejsce tuż po napaści Niemiec na ZSRR: „Naszego politruka już nie ma, dostał powołanie do wojska. Mama opowiadała mi, że przyszedł się pożegnać i na odchodnym prosił, by mu mama dała... święty obra-

zek. Dała mu obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, pożegnała znakiem krzyża i powiedziała: *‘Niech cię Matka Boska ma w swojej opiece’*. Schował go do kieszeni na piersiach, uściśnął mamę i wyjechał. Nie był to zły człowiek, choć enkawudzi-sta”.

Bezkresne kazachskie stopy w ogóle wydawały się działać na ludzi z jednej strony depresyjnie, ale z drugiej strony tak ...łagodząco. Jakby pokazywały, że strażnik czy politruk w gruncie rzeczy jest tutaj podobnym zesłańcem jak ci, których ma pilnować, tylko uzbrojonym. Ta surowa, ale i piękna przyroda, sprawiała, że ludzie stawali się melancholijni. Pięknie obrazuje to opowieść o Ukraińcu Czirkowie: *„W stepowej głuszy były piękne, niezapomniane, gwiaździste syberyjskie noce. Czasem cisza przerywana była dalekim nawoływaniem, czasem śpiewem ukraińskiej dumki. Był we wsi niejaki Czirkow, zesłaniec nie wiadomo skąd i za co, przystojny i samotny mężczyzna. Gdy śpiewał wszyscy wspierali się na widłach i wsluchiwali w jego piękne pieśni. Księżycowe noce sprzyjała zadumie. Przeważnie śpiewał smętne pieśni o Ukrainie, albo liryczne pieśni rosyjskie”*.

Na moją prośbę, by zaśpiewał ukraińską, znaną mi pieśń: *„Rewe ta stohne Dnibr szyrokiy”*, powiedział:

*„Śpiewam tylko dla siebie, z tęsknoty za swoim krajem.*

*Ale jego tęsknota udzielała się i nam. Oko się szklilo, gdy każdy z nas przypominał sobie, że gdzieś daleko, daleko na zachód leży nasz rodzinny kraj. Nostalgia, zaraźliwa choroba. A Czirkow nadal śpiewał, coraz bardziej żałośnie, echo nosło jego ból w daleki step. Pieśniami swoimi pobudzał w nas wiarę i umiłowanie ojczyzny, jakby chciał nam powiedzieć: śpiewajcie, pieśń jest więzią z waszym krajem, dodaje odwagi, łączy, nie pozwoli zapomnieć. To był właśnie Czirkow, nieznan*

*skazaniec, dobry patriota swego kraju – Ukrainy”*.

Szczęście i opieka Boska nie opuszczały Autora i po tym, jak wydostał się z łagru. Został co prawda siłą wcielony do Armii Czerwonej ale zbiegł stamtąd do berlingowców. Kto wie jak potoczyłyby się losy „dezertera” (zapewne niewesoło) gdyby nie trafił tam na dubnieńskiego żyda, więźnia, któremu jeszcze przed wojną kupił jedzenie. Ów były więzień u Berlinga awansował na oficera i odplacił dobrem za dobro „urządzając” Kanikule w armii tak, by sowieccy towarzysze nie zapomnieli się o niego.

Wojnę szczęśliwie przeżyła cała rodzina Kanikulów, mimo, że rozrzucona po bezkresach Kraju Rad od Charkowa po Kazachstan, Workuje i Krasnojarski Kraj. *„Bóg zachował nas wszystkich przy życiu”* pisze Autor. I dzięki temu samemu Bogu dziś możemy czytać jeszcze jedne ciekawe i ważne wspomnienia z czasu niedoli naszego narodu.

**Krzysztof Wojciechowski**

Henryk Kanikuła, *„Kurhan Polki”*, Norbertinum, Lublin 2013, ss. 216



Fragment murów zamku dubieńskiego

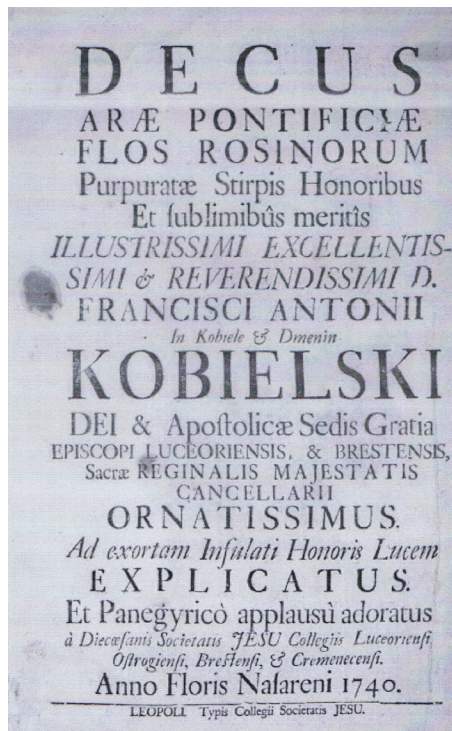
Fot. Wikimedia Commons



**Biskupi łuccy - Луцькі єпископи****FRANCISZEK ANTONI KOBIELSKI**

1739 – 1755

Franciszek Antoni Kobielski urodził się jesienią 1679 r. (ochrzczony został 22 października t.r.) w Dziepułciu w parafii Dmenin jako syn późniejszego łowczego rawskiego Mikołaja Stanisława i jego trzeciej żony Teresy z Tarnowskich. Ród Kobielskich (herbu Poraj) wywodził się z usytuowanej na południowy-wschód od Radomska miejscowości Kobile (ówcześnie w województwie sieradzkim), która sąsiadowała o zaledwie kilkanaście kilometrów z Gidlami, słynącymi w stuleciach XVII-XVIII z istniejącego tam sanktuarium maryjnego. U schyłku wieków średnich weszli Kobielscy w posiadanie pobliskiego Dmenin (powożonego między Radomskiem a Przedborzem), skąd też pisały się kolejne pokolenia rodu. Miał Franciszek Antoni braci Samuela Stanisława, stolnika sieradzkiego, i Jana, a także siostry Jadwigę, Krystynę, Elżbietę i Annę. Spośród tych Jadwiga była żoną kolejno Gabriela Turskiego i Adama Wołowicza. Z drugiego jej małżeństwa pochodził następca (i zarazem więc siostrzeniec) Franciszka Antoniego Kobielskiego na biskupstwie łuckim – Antoni Erazm Wołowicz. Natomiast wnukiem Jadwigi Kobielskiej po Jej synu z pierwszego małżeństwa był Feliks Paweł Turski, ordynariusz łucki w latach 1771-1790 (następca Antoniego Erazma Wołowicza). W przedziale lat 1736-1790 na stolicy biskupiej w Łucku zasiadało zatem trzech bardzo blisko ze sobą spokrewnionych prałatów. Do rodziny omawianego w niniejszym szkicu hierarchy należał również pełniący obowiązki sufragana przy boku wspo-

**Panegiryk poświęcony biskupowi  
Franciszce A. Kobielskiemu***Fot. Archiwum*

mnianego wyżej biskupa Wołowicza Franciszek Kobielski (1703-1766), syn osiadłych we Wróblowcu na Podolu Kazimierza i Rozalii Kobielskich.

Przeznaczony już w młodości do stanu duchownego kształcił się Franciszek Antoni pod kierunkiem pijarów. Jakkolwiek w r. 1698 śmierć wyrwana spośród żyjących jego ojca, znalazł wszakże oddane-

go opiekuna i protektora w osobie swego krewnego Stanisława Szembeka, wówczas biskupa sufragana krakowskiego, a od r. 1700 ordynariusza wrocławskiego (późniejszego prymasa). Zapewne dzięki jego właśnie poparciu uzyskał Kobielski w kwietniu 1705 r. kanonię wiślicka i probostwo w Wielkim Piasku. Tegoż roku, dnia 19 grudnia, administrujący diecezją krakowską dotychczasowy miejscowy sufragan Kazimierz Łubiński zaledwie kilka dni wcześniej prekonizowany ordynariuszem chełmskim, udzielił mu święceń subdiakonatu. Na diakona wyświęcony został przyszły biskup z kolei w początkach roku następnego, a 3 kwietnia 1706 przyjął święcenia kapłańskie, w dwa i pół roku później instalował się Kobielski na kanonię w kapitule katedralnej w Krakowie (2 października 1708). W tym wszakże czasie przebywał już od r. 1707 w Rzymie, gdzie – dzięki uzyskaniu trzyletniego stypendium (z dawnej fundacji biskupa Jakuba Zadzika), przedłużonego jeszcze o rok z łaski krakowskiej kapituły – studiował do r. 1711 prawo kanoniczne, nie uzyskując wszakże w tej dziedzinie żadnego stopnia naukowego. Lata bytności zagranicą przyniosły mu niemniej znajomość kilku języków obcych, Jak i cenne przyjaźnie w kręgach kościelnych Wiecznego Miasta.

Będąc już kanonikiem katedry na Wawelu uzyskaj Franciszek Antoni Kobielski w r. 1709 kanonię w kolegiacie prymasowskiej w Łowiczu, natomiast w r. 1711, po powrocie z Rzymu, zrezygnował z kanonii wiślickiej i probostwa w Wielkim Piasku. Bliskie powiązania z wpływowym za panowania Wettynów rodem Szembeków pozwoliły mu wszakże pozyskać w krótkim czasie liczne inne prebendy i beneficja. W r. 1714 został mianowicie kanonikiem w metropolitalnym Gnieźnie, a 15 października 1717 prepozytem krakowskiej kapituły katedralnej. Wcześniej

jeszcze uzyskaj dziekanię kolegiaty warszawskiej, a niebawem również dziekanię kolegiaty w Kielcach. Kilkakrotnie też delegowany był do Trybunału Koronnego (w r. 1720 sprawował obowiązki jego wiceprezydenta), jak również reprezentował kapituły gnieźnieńską i krakowską, na sejmach.

W pierwszych dniach sierpnia 1721 r. zmarł wielce przychylny Kobielskiemu prymas Stanisław Szembek. Przyszły biskup łucki, upoważniony przez gnieźnieńskich kanoników, zajął się wówczas zorganizowaniem uroczystości pogrzebowych bliskiego mu metropolity. Wkrótce później zyskał Franciszek Antoni Kobielski nowego protektora w osobie kuzyna zmarłego prymasa, biskupa wrocławskiego Krzysztofa Antoniego Szembeka. Kiedy też w początkach roku 1723, po śmierci Wojciecha Ignacego Bardzińskiego († 9 lutego 1723), zaważowała sufragania we Włocławku, Szembek zdecydował się wysunąć na nie właśnie Kobielskiego i kandydaturę tę 8 listopada t.r. przedstawił Stolicy Apostolskiej. W ślad za tym przeprowadzony został w grudniu 1724 r. przez nuncjusza Wincentego Sandiniego proces informacyjny, a 23 lipca 1725 nowy papież Benedykt XIII prekonizował Franciszka Antoniego Kobielskiego biskupem tytularnym Antaeopolis i sufraganem we Włocławku. Sakry nominatowi udzielił tamtejszy ordynariusz Krzysztof Antoni Szembek (1725). Wówczas też przyszły biskup Łucki wszedł do grona Wrocławskiej kapituły katedralnej (9 maja 1725), której w styczniu 1726 r. został scholastykiem, a w grudniu 1732 r. archidiakonem. Ponadto od stycznia 1726 r. posiadał on intratne probostwo w Gniewie na Pomorzu Gdańskim. Nadal wszakże łączyły go bliskie związki z diecezją krakowską, w której w tymże roku 1726, po śmierci Michała Szembeka († 21 kwietnia 1726), a przed prekonizacją Michała Kunickiego

(23 grudnia 1726), sprawować zastępczo funkcje sufragana u boku miejscowego ordynariusza Felicjana Konstantego Szaniawskiego. Po sześciu latach, kiedy ów zmarł, witał 6 lutego 1732 jego następcę Jana Aleksandra Lipskiego (poprzednio biskupa łuckiego) podczas uroczystego ingresu do katedry na Wawelu. W dwa lata później czuwał także w Krakowie nad przebiegiem uroczystości pogrzebowych Augusta II (a zarazem Jana III Sobieskiego i królowej Marii Kazimiery d'Arquien) dnia 15 stycznia 1734, jak również był u boku biskupa Lipskiego współkoronatorzem nowego władcy Rzeczypospolitej Obojga Narodów – Augusta III (17 stycznia 1734). Koronacja ta przeprowadzona została wbrew woli prymasa Teodora Andrzeja Potockiego, jak i znacznej części krajowego episkopatu, i narazić mogła jej duchownych uczestników na sankcje kościelne. Tak się wszakże nie stało, a co więcej, uzyskał wówczas Kobielski od monarchy obietnicę uzyskania wakującej diecezji chełmińskiej. Podobna obietnica dana została wszakże i poznańskiemu sufraganowi Adamowi Stanisławowi Grabskiemu, stąd też nieoczekiwanie w przedmiocie obsady biskupstwa chełmińskiego nastąpiła długa zwłoka. Ostatecznie z rywalizacji obu sufraganów zwycięsko wyszedł młodszy od swego konkurenta o ponad 20 lat Grabowski, którego translacja na stolicę biskupia w Chełmży papież Klemens XII dokonał dnia 26 września 1736. Awans nie ominął wszakże i Kobielskiego, który jeszcze w r. 1734 powołany został na posadę kanclerza i spowiednika żony Augusta III, królowej Marii Józefy Habsburżanki, a 19 listopada 1736 uzyskał prekonizację na biskupstwo w Kamieńcu Podolskim – i to z równoczesnym przyzwoleniem Stolicy Apostolskiej na dalsze zachowanie dotychczasowej funkcji sufragana, a zara-

zem archidiacona kapituły katedralnej we Włocławku, z których to obu już jednak w wrześniu 1737 r. zrezygnował. W czasie swych dość krótkich rządów w diecezji kamienieckiej tamtejszemu Kościołowi poświęcaj wcale niemało uwagi, chociaż w większej mierze absorbowały go jednak wydarzenia życia politycznego w kraju, w których aktywnie uczestniczył.

Translacja Franciszka Antoniego Kobielskiego na biskupstwo łuckie, postanowiona przez króla Augusta III jeszcze na przełomie roku 1738/1739 zyskała aprobatę ze strony papieża Klemensa XII dnia 30 września 1739. Rządy nowego pasterza trwać miały na Wołyniu i Podlasiu ponad 15 lat i obfitowały one w wiele istotnych dla życia diecezji wydarzeń. I tak w r. 1740 osadzeni zostali w Brahiłowie z fundacji wojewody bełskiego Stanisława Potockiego trynitarze, którym przekazano tamtejszą niewielką rozmiarami świątynię drewnianą (murowana oraz klasztor dla nich wzniesiono dopiero w późniejszych latach). W niej też dokonano 16 maja 1744 uroczystego udostępnienia do kultu ogółowi wiernych poświęconego kilka lat wcześniej w Rzymie osobiście przez Klemensa XII szczególnie czczonego w zakonie trynitarzy wizerunku Jezusa Nazareńskiego. Z kolei w katedrze Przenajświętszej Trójcy w Łucku biskup Kobielski dokonał dnia 8 września 1749 (w asyście unickiego biskupa Teodozego Rudnickiego) koronacji łaskami słynącego obrazu Matki Bożej Łuckiej. Złote korony, ufundowane specjalnie na tę uroczystość przez wojewodę wołyńskiego Michała Potockiego, poświęcił w Wiecznym Mieście papież Benedykt XIV. W Winnicy natomiast łucki ordynariusz dokonał w r. 1741 konsekracji nowego kościoła jezuitów. Z fundacji Kobielskiego kolegiata janowska otrzymała cztery dalsze ołtarze boczne, stalle

kanonickie, dzwonnice i nowe, 42-głosowe organy. Nie zapomniał przy tym i o swej rodzinnej parafii w Dmeninie (ówcześnie w archidiecezji gnieźnieńskiej), która zawdzięczała mu fundację w r. 1748 murowanej świątyni parafialnej. Wiele uwagi poświęcał Franciszek Antoni Kobielski niekatolickim społecznościom wyznaniowym zamieszkującym tereny jego diecezji. Dążył w szczególności do pozyskania dla katolicyzmu prawosławnych, trudził się też około chrystianizacji wyznawców judaizmu, którym m.in. osobiście głosił po synagogach kazania (niektóre spośród nich ukazały się drukiem w r. 1746 we Lwowie), tudzież posyłał do gmin żydowskich wędrownych kaznodziejów. Za jego pasterzowania nie został wprawdzie przeprowadzony ani jeden synod, przesłał on wszakże w r. 1749 do Stolicy Apostolskiej relację o stanie diecezji. Dowiadujemy się z niej m.in., iż biskupstwo łuckie dzieliło się wówczas na dwa archidiaconaty i czternaście dekanatów foralnych. W jego granicach istniały dwa opactwa męskie (benedyktynów w Horodyszczu i cystersów w Wistyczach), prowadziły też tu swoją działalność zakony karmelitów, franciszkanów konwentalnych, bernardynów, reformatów, dominikanów, augustianów, trynitarzy, paulinów, kapucynów, jezuitów, pijarów, bonifratrów i kartuzów (erem w Berezie), a także brygidek, karmelitanek, bernardynek, benedyktynek i szarytek, z satysfakcją donosił też biskup Ojcu św., iż w diecezji „*Lutheranorum et Calvinistarum paululus numerus est*”. Za rządów tego ordynariusza proboszcz z Kowla, ks. Antoni Jan Rokicki, ufundował w kapitule katedralnej kolejny kanonikat gremialny. Mimo tak aktywnej posługi pasterskiej Franciszek Antoni Kobielski nie zaprzestał działalności na niwie politycznej, popierając dążenia re-

formistyczne w kraju. Tak poczesne zasługi, jak i okazywana względem panującej dynastii Wettynów lojalność, przyniosły mu zaszczytne wyróżnienie Orderem Orła Białego.

W latach 50. XVIII w. biskup Kobielski, który przekroczył już siedemdziesiąty rok życia, z coraz większym trudem sprawował zarząd powierzonej mu diecezji. Mimo że w r. 1749 otrzymał drugiego sufragana w osobie Ludwika Riaucour (pierwszym był od r. 1739 Hieronim Antoni Szeptycki), powziął wówczas zamiar przybrania na koadiutora z prawem następstwa swego siostrzeńca Antoniego Erazma Wołłowicza. Zgody na to udzielił król August III, w związku z czym sprawa przekazana została w r. 1754 do Rzymu. Nim jednak zapadła tam wiążąca decyzja, Franciszek Antoni Kobielski zmarł 27 stycznia 1755 w Janowie Podlaskim. W tamtejszej kolegiacie Przenajświętszej Trójcy, po uroczystościach pogrzebowych w dniu 17 czerwca 1755, został też pochowany. W murach tejże świątyni jego siostrzeniec i następca na biskupstwie łuckim Antoni Erazm Wołłowicz wznosił mu pomnik nagrobny. Liczący sobie w chwili śmierci Kobielskiego 20 lat późniejszy prymas Ignacy Krasicki określił go w jednej ze swych zapisek mianem „*męża pełnego gorliwości apostołskiej*”.

**Krzysztof Rafał Prokop**

[Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 151-156.]

